Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI | Niedziela, dnia 2 stycznia 1938 r. | Nr. 1



Piosenka styczniowa

Będę śpiewał wam wszystkim
swoją piosenkę styczniową —
pozdrowię was uśmiechem,
balladą zimową...

Grzechotką lodowych sopli
zadzwonię w okienka —
i to będzie moja najpierwsza
zimowa piosenka...
Wymaluję wam kwiaty,

jakich jeszcze nie znacie —
kwiaty z gałązek srebrnych
i róże w szkarłacie...

I rozśpiewam się ciszą
i zapomnę o smutku —
i zakwitnę śnieżyczkami
w maleńkim ogródku...

Zmierzch wieczoru zabarwię
na błękitno lub lila —
noc podzielę na gwiazdy,
a znów gwiazdy na chwile...

Brzozą wam się rozśpiewa
moje serce własne —
gwiazdą najpierwszą zapłonę,
a ostatnią zagasnę...

A potem będzie cisza
w zimowej ustroni —
nikt mnie nie podpatrzy,
kiedy łzę uronię...

Józef Baranowski.

ADAM CZEKALSKI

13)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

— Słucham pana z przejęciem. Widzę, że należy pan do porządnych ludzi, że jest pan dżentelmenem, a ponieważ ja osobiście bardzo lubię podobnych ludzi, mam przeto nadzieję, że konwersacja z panem będzie dla mnie rozkoszną.

— Panie Barłamp — po co pan był tam pod oknem tego wieczoru?

— Czyż nie odpowiedziałem panu na to pytanie? Zdaje się, że była już między nami mowa o mojej pasji do wszelkich niezwykłości, tajemniczości, duchów, które czasem doskonale grają w baka i bridge'a, słowem do wszelkich rzeczy zaświatowych.

— Nie, pan tam był w zgoła określonym, ale też i całkiem innym celu, niż mnie pan usiłuje w dość lekkiej formie przekonać.

— Daruje pan, ale to już taka moja maniera, czy natura, że lubię wszystko, całe życie — na wesoło. Wie pan, znałem kiedyś niejaką pannę Śniegurównę, całkiem miłe dziewczątko, i wie pan, kobieciątko to także lubiło życie brać od strony wesołej. Każdego drugiego - trzeciego w miesiącu wydawała całą swoją pensję, a gdy koleżanki zwracały jej uwagę na tę nieroztropność, odpowiadała zawsze z beztroską: „cóż chcecie, moje drogie, ja lubię życie brać zawsze na wesoło".

— Z tego wnoszę, że nie sprawi to panu wcale żadnej trudności, jeśli znajdziesz się na brzegu Styksu, a stary przewoźnik Charon za jednego obola przewiezie pana... na wesoło — na drugą stronę rzeki?

— Czy pan lubi historię starożytnej Hellady? Wie pan, ja wprost przepadam za nią! Ileż tam mądrości życia, ileż tam piękna! Dzisiaj wprost pasjonuję się greczyzną, a w szkole...

— Wróćmy do właściwego tematu — przerwał mu nieznajomy.

— Przypuszczam, że wszelki temat, jaki w naszej tak miłej pogawędce poruszamy w obecnej chwili, jest właściwym tematem, czyż nie tak?

— Jest pan w małym błędzie.

— O, jeśli w małym, to cieszę się ogromnie. Więc proszę, o co szanownemu panu chodzi?

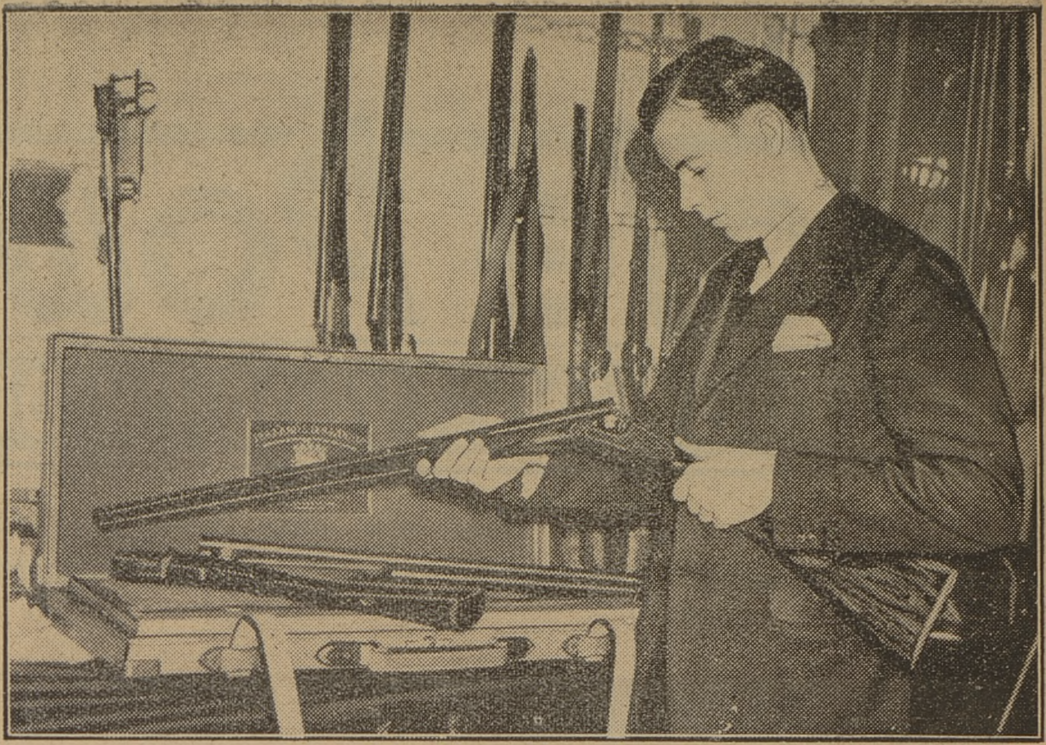
— Powiedziałem: znam pana z jego „zamiłowań niezwykłościami" i prawie wiem, po co znalazłeś się owego wieczoru pod oknami mojego domu.

— Ach, pod oknami pańskiego domu? W takim razie jest pan nie kim innym, jak szlachetnym doktorem wszechnauk lekarskich, mister John'em W. Borowiczem. Czy tak, panie doktorze?

Nieznajomy nie odpowiedział od razu, jakby się zdawał zastanawiać czas jakiś nad daniem odpowiedzi stosownej. W końcu jednak odrzekł krótko:

— Tak, jestem Borowicz.

— Bardzo mi miło pana poznać, nawet w tak niezwykłych okolicznościach. Ale skoro już formom światowym uczyniliśmy zadość, czy nie zechciałby mnie pan poinformować, jakim okolicznościom mam zawdzięczać to niespodziewane uwięzienie mnie w owym podziemiu odpadków bawełnianych?



Na uroczystość zaślubin króla Egiptu, Faruka, król angielski zamierza podarować mu kolekcję broni myśliwskiej, którą widzimy na zdjęciu.

— Sądzę, że pan sam to doskonale wie.

— Właśnie, że nie i dlatego pozwoliłem sobie pana o to zapytać.

— Panie Barłamp — po co ta komedia?

— Komedia? Czy pan nie lubi komedii? A wie pan, to ciekawe, ja wprost przepadam za komediami. Ostatnio na przykład byłem na znakomitej komedii „Papa się żeni". Nie zna pan tego? Szkoda, radzę panu pójść do „Rialto", gdzie komedia ta jest ostatnio grana, a przynajmniej była grana, bo w obecnym momencie nie orientuję się wcale ile dni minęło od mojego uwięzienia.

— Dość tego! Albo będziesz pan odpowiadał na zadane panu pytania, albo...

— Czyż nie udzielam panu aż nadto wyczerpujących odpowiedzi we wszelkiego rodzaju kwestiach, jakie bywają w naszej rozmowie poruszane? Sądzę, że zachowuję się w stosunku do pana, panie doktorze Borowicz, z całkowitym uznaniem.

— Nie kręć pan, jak ścigany lis.

— Ach, właśnie najmniej lisa przypominam w tym wypadku. Możnaby tak powiedzieć tylko wtedy, o ile zgodziłby się pan na to, że obaj nimi jesteśmy, a owo locum, w którym się znajdujemy, jest naszą wspólną jamą, do której jeden z nas nieopatrznie wlazł nieproszony.

— Ja jestem u siebie w domu, a tym nieproszonym lisem jest właśnie pan.

— Bardzo żałuję, że sprawiam panu przez to przykrość, ale czyż ja dobrowolnie tu przyszedłem? Zdaje się, że nie?

— Pan byłeś w Warszawie u kapitana Olśnickiego, prawda?

— Co, pan zna Zdzicha? — zawołał szczerze jak gdyby uradowany Barłamp. — To się doskonale składa, bo okazuje się, że obaj mamy wspólnych znajomych, a to upraszcza całą sytuację. Prawda, że Olśnicki, to byczy chłop?

— O czym pan z nim rozmawiał? — zapytał znowu Borowicz, nie zwracając uwagi na komentarze Barłampa.

— Szczerze panu powiem, że nawet nie pamiętam — udał zmartwienie Oleś. — Pan rozumie — trudno zapamiętać szczegóły przyjacielskiej rozmowy ze starym druhem. Ot, rozmawiało się o tym i owym, słowem — o wszystkim po trochu.

— On panu dał mandat śledzenia mnie.

— Mandat? Panie, czyż nie dość Anglia ma kłopotu z mandatem nad Palestyną, aby stanowić odstraszający przykład dla innych? Nie, łaskawy panie doktorze, ja nie znoszę wprost organicznie żadnych mandatów. A poza tym, jaki sens byłby wogóle pana śledzić? Nie jestem wywiadowcą żadnej firmy konkurencyjnej w stosunku do kalkuckich mocodawców pana. Owszem, owszem, bardzo się cieszę, że pan, jako Polak, nie zapomniał popierać wyrobów krajowych. Bardzo to porządnie z pana strony, porządnie i patriotycznie. I gdybym mógł liczyć na względy i łaskawość pańską, z miejsca poleciłbym panu firmę mojego ojca „Hieronim Barłamp — Fabryka trykotaży". Wprawdzie w dalekiej i gorącej Kalkucie trykoty są rzeczą zbędną, ale wyrabiamy również i cieńsze tkaniny.

— I pan podjąłeś się tej roli — mówił dalej Borowicz, przechodząc nad słowami Olesia do porządku, jak gdyby ten wogóle nic nie był wypowiedział.

Wszedł Dario, niosąc na półmisku kawał pieczeni wołowej.

— Bardzo dziękuję za uprzejmość — skłonił się Barłamp z galanterią w stronę Borowicza i wciągając w płuca rozkoszny zapach świeżo upieczonego mięsa. Poczem, gdy Hindus postawił przed nim pieczeń, zabrał się zaraz do jej konsumowania, nie zwracając najmniejszej uwagi na Borowicza.

„Grunt, to dobrze jeść i odzyskać siły — myślał jednocześnie — a potem zobaczymy co będzie. Człowiek głodny jest słaby i zły, a w takim stanie nic mądrego nie wymyśli".

I po tych myślach zajął się z namaszczeniem ćwiartowaniem pieczeni i obkładaniem kawałków, przeznaczonych już do ust, doskonale wysmażoną cebulką.

— Doskonałego ma pan kucharza, panie Borowicz — zrobił uwagę w chwili, gdy połowa pieczeni zniknęła już w przepaściach jego żołądka. — Befsztyk smakuje mi teraz tak, jak nigdy przedtem. Rarytas, paluszki lizać.

Borowicz nie odpowiedział, ale wolnym krokiem przemierzał pokój tam i nazad, jakiś zamyślony i zadumany.

— Wie pan — odezwał się znowu Oleś, nie zwracając uwagi na to, że Borowicz nie odpowiedział nic na poprzednie odezwanie. — Wie pan, kiedyś bawiłem na studiach w Grenoble we Francji i raz jeden tylko trafiłem na knajpę, gdzie podobnie smażono befsztyki. Niestety, raz mi się to tylko zdarzyło w życiu, a teraz mam drugi taki wypadek, za co jestem panu ogromnie zobowiązany.

Gdy ogromny befsztyk zniknął z półmiska, Dario przyniósł Barłampowi herbatę i położył w milczeniu przy szklance dziesięć papierosów. Wypiwszy herbatę i zapaliwszy wonnego papierosa, Oleś odsapnął i spojrzał w stronę chodzącego w dalszym ciągu w zadumie Borowicza.

— Pan doktor zmartwiony? — zagadnął go. — Wierz mi pan, że wszelki smutek diabła wart. Wyczerpuje tylko człowieka, pozbawia go jasności i polotu umysłu, słowem tworzy kompletnego niedołęgę.

Borowicz zatrzymał się nagle przed Barłampem i jednym szarpnięciem zdarł maskę z twarzy.

— Chcę, abyś pan widział moją twarz — zasyczał złowrogo — bo może nie zobaczysz jej już nigdy...

— Co pan powie — zdumiał się Oleś. — Bardzo mi przykro. Czy pan doktor odjeżdża od nas?

— Nie, to pan odjedziesz stąd tak daleko, że nie wrócisz już nigdy, bo stamtąd nie wraca się w ogóle.

— Ciekawe. A gdzież to pan doktor dobrodziej zamierza mnie wyekspediować?

— Dowiesz się może wcześniej, niż przypuszczasz.

— Ciekawe, doprawdy ciekawe! Wie pan, jak ogromnie pasjonuję się wszelkimi niezwykłościami. Na przykład te duchy... Zdaje się, że wspomniałem już panu o nich. To były ciekawe wypadki, bardzo... Cała prasa miejscowa łódzka o niczym nie pisała dzień w dzień, jak tylko o owych duchach w pałacu Rostafińskich.

— Pan niedługo staniesz w ich gronie.

— Świetnie! Wie pan, bardzo rad będę z zobaczenia owych duchów na własne oczy. Już teraz wystawiam sobie, jakiej wrzawy narobi prasa,gdy udzielę wywiadu na ten temat. „Człowiek, który widział duchy", „Noc grozy w tajemniczym pałacu" — takie i tym podobne tytuły zapełnią wszystkie strony dzienników.

— Zamilcz pan! — wyrzekł z naciskiem Borowicz, a taką moc miały te jego słowa, że Oleś, który w ogóle nie należał do tchórzów i nie byle co było w stanie wytrącić go z równowagi, tym razem zamilkł, jak mu to nakazano.

— Nie sądź, że jestem takim naiwniaczkiem, który uwierzy w tę twoją oszałamiającą wprost i bezproduktywną paplaninę. Wiem, kim jesteś i czego szukasz, ale przeliczyłeś się w swoich rachubach.

— I to możliwe, nie zawsze kupcowi tak się wszystko składa, jak sobie z góry kalkuluje. Ale o co panu chodzi, doktorze?

— Przeliczyłeś swoje siły i zmierzyłeś się z mocniejszym od siebie.

— Ani ja nic jeszcze nie przegrałem, ani też pan nic nie zyskał.

— Zdaje ci się.

I to możliwe, rachuby ludzkie są zwodnicze. Ale czemuż to miałyby one być zwodniczymi tylko dla mnie, a dla pana nie? W każdej walce szanse są dwojakie: do wygrania lub do przegrania.

— Czy ty wiesz, że stąd nigdy już nie wyjdziesz żywym na świat Boży?

— I to możliwe — odparł obojętnie Barłamp. — Czasem człowiek na równej drodze się potknie i pada trupem. Ale tym razem nie wydaje mi się, ażeby ze mną miało być naprawdę tak krucho.

— Umrzesz tutaj i dopiero kiedyś, po latach, odnajdzie ktoś tutaj twoje kości, ale wtedy nikt już nie dowie się kim byłeś i z czyjej padłeś ręki.

— Ha, cóż robić, dwa razy nikt nie umiera: jeśli umrę teraz, nie umrę kiedyś po wielu latach, gdy na mnie przyjdzie kolej. Ale tymczasem racz sobie pozwolić powiedzieć doktorze, że moja śmierć jest równoznaczna z twoim więzieniem i z kryminałem całej twojej przybocznej świty mistycznych zbrodniarzy, przybyłych tutaj w celu dopuszczenia się szalbierstwa na niewinnym dziewczęciu.

— Potrafimy zdeptać ciebie i wszystkich twoich pomocników.

— O wa! W tym wypadku musielibyście zdeptać całe państwo nasze, a to jest troszeczkę za trudne. Trzeba zawsze mierzyć siły na zamiary i robić rachunek z gospodarzem, a pan, łaskawco — postąpiłeś sobie odrobineczkę inaczej. I tu będziesz leżał, braciszku, na obie łopatki.

— A ty na głębokość dwóch metrów pod ziemią.

— Możliwe, możliwe, na świecie codziennie przecież umierają tysiące ludzi.

— Gdybyś nie znał całej tajemnicy naszej — byłbyś wolnym, a tak — musisz zginąć, musisz... Nas dwóch za wiele na tym świecie, za ciasno nam.

— O, przeciwnie, mnie wcale przestronno i dobrze. I panu byłoby tak samo, gdybyś nie był podjął się tego szalonego przedsięwzięcia dla zagarnięcia miliona w złocie majątku Stanisława Krupińskiego.

— I dostanę go.

— Na dwoje babka wróży, powiada stare polskie przysłowie ludowe. Widziałem już takiego, który posiadał łup w ręku, doskonale ukryty, a jednak nie mógł o sobie powiedzieć, że go posiadł, bo w dwa dni później znalazł się on w rękach policji.

— Ale mnie go nikt nie odbierze. Posiadam siłę, o jakiej wam tu wszystkim ani się nawet nie śniło, i tą siłą, tą moją mocą, tą wolą potrafię ujarzmić wolę najsilniejszego z was. Zwycięstwo moje jest pewne — już je widzę oczyma wyobraźni.

— To bardzo zwodnicza pani, owa madame Wyobraźnia, nieraz haniebnie zawodzi w rzeczywistości. A jeśli o pańską siłę chodzi, to, zdaje się, że ja ją wykryłem, doszedłem do jej jądra, wiem, skąd ona się wywodzi i jak ją ujarzmić. Ot, weźmy choćby teraz mnie — czemuż pan nie może użyć tej siły i ujarzmić mnie? Jestem przecież w twoim ręku, na twojej łasce, a jednak drwię z ciebie w żywe oczy i powiadam — nic mi nie zrobisz, nie lękam ci się. Twoja siła nie ma na mnie wpływu.

Borowicz zadrżał. Istotnie ,na samym początku, kiedy Dario wprowadził tutaj Barlampa, próbował zapanować nad wolą tego wesołka, wedrze ćsię do jego mózgu, odczytać jego myśli i zamiary, a jednak — daremnie. Dlatego przechwałek Barlampa nie zbagatelizował tym razem.

— Czemuż milczysz? Czemuż nie zetrzesz mnie swoim gniewem? — pytał Oleś, wpijając się swoim napozór łagodnymi i dobrymi piwnymi oczami w twarz Borowicza, pobladłą teraz i jakby z kamienia wyciosaną.

— Dlatego zginiesz ,że przechwalasz się posiadaniem tajemnicy mojej siły — odrzekł następnie twardo Borowicz.

— A czy ty jesteś pewnym, że tajemnicę tę ja jeden posiadłem?

Borowicz błysnął złowrogo swymi zielonymi oczyma pochodniami i długo wpatrywał się tak w twarz tego dziwnego człowieka, tak na pozór swawolnego i lekkomyślnego w gruncie rzeczy tak jednak przebiegłego.

— Zobaczymy — odrzekł już spokojnie. — Zobaczymy, czy wasza siła będzie w stanie dorównać mojej sile. Tej walki, ty już niebędziesz na swoje nieszczęście, może oglądał, ale twój duch będzie widział ją dzisiaj. — Borowicz podszedł do okna.

— A no, uwidim, skazał slepoj głuchomu — jak to powiadają Moskale — odrzekł obojętnie Barlamp. — Jednakże, doktorze, czy nie uważasz, że czas przerwać już tę tak długo trwającą rozmowę. Przyznaję, że czuję się bardzo zmęczony i pozwolę sobie zaapelować do pańskiej dżentelmenerii, aby mi dostarczono jakieś łóżko, na którym mógłbym ulokować swoje zmordowane kości. Dobrze?

Borowicz nie odrzekł nic na to, ale stanąwszy przy zasłoniętym okiennicą oknie, zdawał się błąkać myślami gdzieś w nieokreślonej dali, w nieznanych przestrzeniach. Później podszedł automatycznym krokiem do dzwonka i nacisnął go, a gdy wszedł wciąż zamaskowany Dario — wskazał mu jeńca.

— Ty pójdziesz ze mną — mruknął olbrzym.

— Żegnam pana, doktorze — rzekł Barlamp. — Mam nadzieję, że drugim razem będę miał szczęście widzieć pana w lepszym humorze.

Borowicz nie rzekł nic na to i nawet spojrzeniem nie pożegnał przeciwnika.

XV.

POŻEGNALNE PRZYJĘCIE

Mister John Borowicz, ubrany już w czarny garnitur wizytowy, stał przed manekinem, do złudzenia przymijającym Lilę i wykonywał jakieś czarodziejskie ruchy. Obok na stoliku leżała fotografia panny Krupińskiej, spod której wyglądała druga fotografia porucznika Stadnickiego. Mister John wziął fotografię Lili w rękę i wpatrując się w nią swoimi oczyma pochodniami, szepnął jakieś tajemne słowa tak cicho, że gdyby ich ktokolwiek był słuchał nawet w bezpośredniej bliskości, nie byłby nic mógł usłyszeć. Chwilami przez ciało jego przebiegły dreszcze dziwne, chociaż w pokoju było aż duszno z żaru. to znowu ciało jego postać prężyła się i zdawała sztywnie ćw jakimś niezrozumiałym martwieniu.

— Przyjdziesz... musisz przyjść... wybiegło naraz urwane jedno i drugie słowo z jego kurczowo zaciśniętych warg. — Rozkazuję ci, słyszysz — rozkazuję ci. Ja tego chcę, tego żądam, a ty musisz mi być posłuszną, musisz.

I znowu oczy mister Johna zapaliły się jakimiś innymi błyskami, zaświeciły w ciemnościach, jak oczy rysia, to znowu zmieniła się ich barwa i ich blask, a cała jego postać zaczynała drżeć tak, jakby w gorączce, jak w febrze.

— Będziesz moją... — wyszedł znowu imperatywny, nakazujący szept z ust Borowicza, a skierowany jak gdyby do niewidzialnej postaci, do kogoś jak gdyby znajdującego się w jego bezpośredniej bliskości. — Będziesz moją... — szept — bo ja tak chcę, bo taka jest moja wola. Rozumiesz? Tak ma być — tak ma być...

Po wyrzeczeniu tych ostatnich słów, Borowicz padł bezwładny na duży fotel klubowy i zdawało się, że albo skonał na miejscu, albo zemdlał, tak widocznym było ogromne wyczerpanie w całej jego postaci. Był blady jak giezło, a pot kroplisty pokrył mu całe czoło, poczem zaczął ściekać wolno po twarzy. W tym stanie mister John trwał kilka minut, poczem oddech jego stawał się równiejszym, pierś zaczęła wznosić się i opadać równomiernymi ruchami, kilka razy westchnął głęboko i otworzył powieki. W pokoju panowała zupełna prawie ciemność. Borowicz powstał i przetarł oczy dłonią, a następnie nacisnął kontakt i w pokoju rozbłysła lampka elektryczna. Spojrzał na zegarek — była godzina ósma wieczorem. Na godzinę dziewiątą naznaczony był raut, wydany dla przedstawicieli przemysłu łódzkiego przez delegację firm kalkuckich, mającą w najbliższym czasie opuścić terytorium Łodzi i nawet Polski.

— Czas na mnie — rzekł do siebie Borowicz i uprzątnąwszy fotografie i ukrywszy manekin w pudle zamaskowanym w jednej ze ścian ,wyszedł z mieszkania.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



W górach Tyrolu stoi skromny kościółek wiejski. Jakby dla uczczenia jego prostoty zima przystroiła go śnieżną szatą.

WOJCIECH HOLM

63)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Otrzepawszy się ze śniegu, odwiązał Alojzy swoją chustkę ze szyi i związał nią ręce hrabiego Wernera.

— Mam cię! — syknął — przyszedłem w sam czas, bo gdybym się tylko kwadrans był spóźnił, byłbym zgubiony!

Z triumfem spojrzał znów na swego pokonanego przeciwnika.

— Co teraz pocznę? — mruknął kasztelan wahająco. — Jak go do zamku przytransportuję? Trudno go samego tu zostawić, nie wiem sam co zrobić!

Po pewnym namyśle zaczął Alojzy ścinać duże gałęzie sosnowe, z których chciał upleść rodzaj noszów, ale czynił to tak pospiesznie, że złamał nóż, który mu służył za siekierę.

Zaklął głośno i odrzucił gniewnie złamane ostrze, nie miał bowiem jeszcze należytej ilości gałęzi i nie miał również innego narzędzia, którym by mógł ściąć potrzebną ilość.

Stał tak przez chwilę niezdecydowany, wreszcie postanowił pobiec do zamku po ręczne saneczki i zostawić tu na razie hrabiego samego, chociaż czynił to bardzo niechętnie.

Przed odejściem popatrzył Alojzy raz jeszcze bacznie na hrabiego, który leżał nieruchomo i widocznie bezprzytomnie na ziemi.

Przykrył go wszystkimi ściętymi gałęźmi, aby go schować przed wzrokiem ewentualnych przechodniów i ochronić przed zimnem.

— Jest tu pusto i bezludnie jak na puszczy — mruknął, jakby na swe pocieszenie — nikt tu pewnie nie zabłądzi!

Uspokojony nieco, pobiegł Alojzy szybko do zamku po saneczki.

Nim jednak kasztelan zdążył przybyć na zamek, odzyskał hrabia Werner przytomność. Ocuciło go zimne powietrze i śnieg na którym leżał. Z trudnością tylko wydostał się z pod gałęzi, którymi był przykryty.

Pierwszą myślą hrabiego było uwolnić ręce z pęt, w które je Alojzy omotał. Próbował najpierw zębami, ale mu się to nie udało. Miał on w kieszeni swej nóż, który mu Ignacy na jego prośby zrzucił do podziemia, ale nie mógł go wydostać z kieszeni.

Zrozpaczony rozglądnął się hrabia wokoło siebie. Wtem zobaczył w pobliżu złamany nóż, który kasztelan w złości odrzucił. Podszedł do niego i schyliwszy się ujął klingę w zęby i usiłował ostrzem rozciąć swe pęta. Udało mu się to, bo nóż był ostry, a kajdany były zaimprowizowane z wełnianej chustki.

Uwolniwszy ręce, zaczął hrabia uciekać z tego miejsca na którym go Alojzy pozostawił; ledwie jednak ubiegł małą przestrzeń, uczuł znów okropne osłabienie i znużenie. Oparł się o pień drzewa i na pół omdlały przymknął oczy. Za silne były dla niego wzruszenia i strapienia ostatnich kilku godzin.

Niedługo tak leżał, gdyż zimne powietrze prędko go znów ocuciło. Trząsł



Do Anglji przybył król Danii Chrystian w towarzystwie żony. Król duński wzrostem przewyższa wszystkich królów.

się na całym ciele. Przerażonym wzrokiem powiódł wokoło, z obawy, że zobaczy wychodzącego z poza drzew swego przeciwnika i odetchnął lżej, gdy spostrzegł, że go tu jeszcze nie ma.

— Jestem tak osłabiony, że ten łotr pewno niezadługo znów mnie dogoni — szepnął hrabia — nie potrafię uciec przed

nim i dlatego najlepiej będzie, jak wyszukam jakieś schronienie i zostanę w nim dopóki Alojzy tędy nie przejdzie!

W pobliżu stała grupa sosen, ale ta mu się wydawała za rzadka. Minął więc ją w nadziei, że mu się lepszy schowek nadarzy.

Gdy tak przemyśliwał nad bezpiecznym schroniskiem, w którym by się mógł ukryć przed prześladowcą, przypomniał sobie, że w tej okolicy była gdzieś jaskinia, do której pasterze, myśliwi i kłusownicy uciekali zawsze w czasie burzy.

Spiesznie skręcił na drogę prowadzącą do tej jaskini i niebawem ją też osiągnął. Z bijącym sercem zapchał się do najciemniejszego kąta, poza kupę chrustu, nagromadzoną tu przez pasterzy.

Niedługo siedział w swym ukryciu, gdyż usłyszał zbliżające się kroki i głosy ludzkie. W minutę później zobaczył wchodzącego do jaskini, bardzo obdartego mężczyznę i kobietę z pokaleczoną okropnie twarzą.

Dziwne uczucie, z którego sobie Werner nie umiał sam zdać sprawy, ale które mimo to bardzo było silne, wstrzymało go od zbliżenia się do nowo przybyłych i od szukania u nich pomocy.

Został więc w swoim schowku i był chcąc nie chcąc, świadkiem następującej rozmowy:

— Gdybym była wiedziała, że za swoją pomoc dostanę tylko tę nędzną chusteczkę, to byłabym się lepiej nie mieszała w tę sprawę! — zaczęła kobieta gniewnym, kłótliwym tonem.

— Milcz Tryno, bo pożałujesz! — krzyknął mężczyzna, podnosząc groźnie pięści.

Tryna cofnęła się o kilka kroków wstecz i znów zaczęła:

— Zawsze tak jest, że jak ludzie przyjdą do pieniędzy, to stają się skąpi. Gdybym była przeczuwała, że ze złotówek Ignacego nic mi się nie dostanie, byłabym ostrzegała biednego idiotę. Nawet porządnego noclegu dziś za to nie miałam!

— Nie głupim narażać się sam na podejrzenie — odparł łotrzyk szyderczo — zwróciłoby to na mnie oczy całego świata, gdybym nagle zaczął rzucać złotówkami; ja, biedny nożownik, który dotychczas z głodu przymierałem. Nie, moja kochana Tryno, nie namówisz mnie do tego, abym tych kilka groszy tak prędko puścił między ludzi!

— Chcesz wszystko schować dla siebie, ty sknero! — gderała Tryna.

— Milcz, bo mnie ręka swędzi i jak gęby nie stulisz, to zaraz dostaniesz po niej tak, że mnie popamiętasz!

— Po coś właściwie tu zaszedł? — spytała Tryna onieśmielona.

— Chcę tu schować te pieniądze — odparł zapytany — będzie to moja kasa oszczędności.

— Ależ idź — perswadowała mu Tyna — przecież ziemia całkiem zamarzła.

Zamiast odpowiedzi, wskazał na mysią dziurę, potem wyjął z kieszeni małą paczkę, którą jeszcze w jakąś szmatę owinął i wsunął ten skarb swój długim patykiem, głęboko we wskazaną pierwej dziurę, której otwór założył kamieniami i listowiem.

— Tak! — rzekł zadowolony. — Jak mnie policjanci teraz złapią, to mi niczego nie będą mogli dowieść, bo nie znajdą przy mnie ani złamanego szeląga, i będą mnie musieli wypuścić. I to ci z góry już mówię, Tryno, że jak mnie zadenuncjujesz, to możesz zaraz zmówić pacierz za swoją biedną duszę. Jak tylko słówko piśniesz o całej tej sprawie z Ignacym, to ci nóż w samo serce wepchnę, a jak się odważysz wyjąć stąd choć jedną złotówkę, bez mego zezwolenia, to cię na miejscu zamorduję!

— Wierzę ci, bo u ciebie zabić nie trudna rzecz! — syknęła Tryna. — Zabić człowieka to bardzo łatwo, ale trudno go znów do życia wskrzesić.

— Stul gębę! — wrzasnął nożownik rozłoszczony. — A zapamiętaj sobie, że jak mnie nie posłuchasz, to pójdziesz za Ignacym! Trzymaj więc język za zębami, jeśli ci życie miłe!

— Jezus, Marja, Józefie Święty! Będę milczała jak grób — zapewniała go Tryna — i nigdy więcej ani słowem nie wspomnę o całej historii z tym cyganem!

— Twoje szczęście! odpowiedział nożownik — a jeżeli w jakim szynku, albo gdzie będzie mowa o Ignacym, to słuchaj obojętnie i nie odchodź, bo to by wzbudziło podejrzenie.

— O, Bóg wie, kiedy Ignacego znajdą! — rzekła Tryna — to może jeszcze tygodnie a nawet miesiące potrwać. Nim go

nie znajdą, nie będą o nim mówili! Kto się tam tak bardzo troszczy o cygana, i to jeszcze o takiego głupkowatego.

— Ignacy był czasami dość mądry — odparł nożownik śmiejąc się dziko — a okazał to też tym, że się z tobą nie chciał wdawać. Ale dość gadania. Chodźmy teraz do wsi oglądnąć się za robotą, bo jestem głodny jak wilk i również spragniony, a na borg nikt mi nic nie da. Trzeba więc zarobić kilka centów.

To rzekłszy, wyszedł z jaskini wraz ze swą towarzyszką, a hrabia Werner odetchnął lżej, gdy ich się pozbył.

Sąsiedztwo tych okropnych ludzi było mu przykre i wstrętne. Bał się też, aby go nie zobaczyli, bo życie jego w tym wypadku byłoby bardzo narażone. Nożownik bowiem nie byłby mu tego puścił płazem, że podsłuchał jego rozmowę i że się dowiedział, że to oni Ignacego zamordowali.

Hrabia Werner wiedział, że gdyby się teraz jednym słowem zdradził, byłby zgubiony. Nożownik wepchnąłby mu bez namysłu sztylet w piersi! Co u niego znaczyło życie ludzkie?

Szczere współczucie ogarnęło hrabiego na myśl o biednym Ignacu, który stał się ofiarą chciwości tego rzezimieszka i jego towarzyszki.

Biedak tak wcześnie musiał umrzeć, a tak mało uciech i przyjemności zaznał w życiu!

Jak różne są losy ludzkie! Jedni opływają w dostatku, inni giną z nędzy i głodu! Jedni żyją aż nadto długo, innych śmierć znów zmiata w kwiecie wieku! Dzieciom szczęścia ustawicznie słońce świeci, a ludziom nieszczęśliwym wszystko idzie na opak.

. . . .

Alojzy zdążał szybkim krokiem do zamku Felseg. Saneczki, którymi zwoził drzewo z lasu, stały na zwykłem miejscu w wozowni. Alojzy narzucił na nie zwój sznurów i już chciał wracać, gdy wtem przypomniał sobie, że nie ma broni przy sobie. Wbiegł więc szybko do zamku i zaopatrzywszy się w nóż myśliwski, który wsadził za pas, zbiegł z saneczkami w dolinę.

W krótkim czasie osiągnął miejsce, w którym zostawił hrabiego Wernera.

Z daleka już jednak poznało bystre jego oko, że gałęzie, które na hrabiego narzucił, nie leżały tak, jak poprzednio.

Dzikie przekleństwo wyrwało mu się z ust. Zacisnął pięści i zaczął nogą roztrącać gałęzie.

Przypuszczenia jego, co do ucieczki hrabiego, były słuszne.

Nie tracąc czasu, zaczął Alojzy patrzeć uważnie za śladami uciekiniera w śniegu. Były one wprawdzie nieznaczne, gdyż hrabia użył wszelkich środków ostrożności, aby je zatrzeć, ale Alojzy jako wprawny myśliwy nie dał się tym zmylić. Jak jamnik goniący za dziką zwierzyną, tak Alojzy tropił bacznym okiem najmniejszy ślad, i wkrótce doszedł do jaskini.

Przed wejściem zatrzymał się zdziwiony i zaniepokojony, gdyż zobaczył ślady nóg, kilka osób odciśniętych wyraźnie w śniegu.

Gdy się jednak bliżej przypatrzył, spostrzegł, że niezgrabny ślad dużego buta męskiego i niemniejszej nogi kobiecej, który prowadził do jaskini, powtarzał się znów na drodze do wsi, z czego wywnioskował, że obie te osoby musiały znów stąd wyjść w kierunku wskazanym. Ślad hrabiego zaś ustawał przy wejściu.

Wszedł więc do jaskini i zaczął ją przeszukiwać.

Gdy się zbliżał do chrustu, uznał Werner, że za chwilę kasztelan musi go zobaczyć i zdecydowany na wszystko, wyskoczył pierwszy na swego nieprzyjaciela.

Kasztelan krzyknął ochryple i chwycił za ostry nóż myśliwski, ale hrabia Werner przeszkodził mu w tym, chwyciwszy go silnie za obie ręce.

Zaczęła się rozpaczliwa walka, w której obaj przeciwnicy używali reszty sił, przekonani, że chodzi o śmierć lub życie!

— Czekaj! — syknął Alojzy — ja jestem silniejszy, a jak cię chwycę, to ostatnia godzina twoja wybiła.

Walczyli jak dwaj opętani. Kasztelan miał pianę na ustach, oczy wyszły mu na wierzch, a żyły na czole nabrzmiały do grubości sznura. Wyglądał przerażająco.

Trzymali się wzajemnie tak silnie rękoma, że żaden z nich nie mógł się dostać do noża.

Zamarzła ziemia uginała się pod ich ciężkimi stopami. Było to targanie i pchanie się i walka na życie i śmierć!

Alojzy był o wiele silniejszy, ale hrabia był elastyczniejszy i zwinniejszy od kasztelana i dlatego był dlań niebezpiecznym przeciwnikiem.

Kto ulegnie? Było to jeszcze niezdecydowane.

Alojzy chwycił się wreszcie podstępu wojennego. Udawał, że jest śmiertelnie osłabiony i wyjęknął:

— Duszę się! Powietrza! Powietrza!

Okrzyk jego tak był błagalny, że hrabia Werner przekonany o prawdzie słów jego i nie przeczuwając, że to było podstępne kłamstwo, puścił swego przeciwnika.

W następnej chwili jednak już żałował swej wspaniałomyślności, gdyż kasztelan rzucił się na niego ze zwierzęcym okrzykiem i rzucił go na ziemię. Potem ukląkł na piersi hrabiego Wernera i wyjąwszy nóż zza pasa chciał go wepchnąć w serce swego przeciwnika.

— Nędzniku! — krzyknął Werner — mordujesz bezbronnego nieprzyjaciela!

Nagle zbladł Alojzy i spuścił nóż na ziemię.

— Co to ma znaczyć? — wybełkotał przerażony, patrząc w głąb jaskini osłupiałym wzrokiem — nieboszczka hrabina! Kiwa na mnie swą białą ręką! Jej duże, smutne oczy patrzą na mnie z wyrzutem. Nie, nie zamorduję go! Biedna duszo, wracaj spokojnie do swego grobu, ja nie chcę krwi twojej mieć na sumieniu!

Włosy stanęły mu na głowie, podczas gdy to mówił.

Werner popatrzył w kierunku, w którym się kasztelan wciąż wpatrywał, ale wszystko, co tam mógł zobaczyć, to był cień i słaby cień brzozy, która rosła u wejścia do jaskini.

Widocznie podrażniona fantazja kasztelana nadała cieniowi temu rysy nieboszczki hrabiny Wildenstein. Zabobonny Alojzy myślał, że zmarła opuściła swój grób aby syna swego uratować z rąk morderczych, i ta okoliczność uratowała hrabiemu Wernerowi zagrożone życie.

— Jak mi pan przysięgnie, że się pan nie będzie ruszał — rzekł kasztelan — to ja panu nic złego nie zrobię.

— Puścisz mnie na wolność? — zapytał hrabia Wildenstein.

— To nie, ale ani włosek panu się nie skrzywi — zapewniał kasztelan.

— Chcesz mnie znów do więzienia ściągnąć? — zapytał Werner przerażony. — W takim razie wolę tu na miejscu umrzeć. Rób ze mną co chcesz, ale ja nie wrócę dobrowolnie do tego strasznego więzienia!

Alojzy rozdarł tym razem swoją kolorową chusteczkę od nosa, związał nią ręce więźnia i chciał go wyciągnąć z jaskini, ale



Król bułgarski Borys pozdrawia sztandary studentów podczas ich dorocznego święta.

hrabia stawił tak rozpaczliwy opór, że kasztelanowi aż krople potu z czoła spływały.

— Nigdy bym nie pomyślał, że człowiek ze spętanymi rękoma tak się potrafi bronić! — mruknął kasztelan. — O, gdyby Ilona tu była! Milcz! — rozkazał ostro hrabiemu, który zaczął wołać głośno o pomoc.

Aby go do milczenia zmusić, wyciągnął Alojzy hrabiemu chusteczkę z kieszeni, zwinął ją w knebel i wsadził ją do gęby Wernerowi, mimo gwałtownego oporu ze strony tego ostatniego.

— Tego mi jeszcze tylko brak — mruknął kasztelan — aby ktoś ten krzyk usłyszał i zleciał mi tu na kark, zobaczyć co się dzieje!

Gderając w ten sposób, popatrzył raz jeszcze, czy knebel dobrze siedzi i czy hrabiego nie zadusi i mruknął zadowolony:

— Nie ma niebezpieczeństwa!

Wziął sznur ze saneczek i chciał nim spętać nogi nieszczęśliwego, ale Werner odgadłszy jego zamiar, wybiegł z jaskini z szybkością prześladowanego jelenia.

Alojzy popędził za nim, jak strzała.

Zaczęła się dzika pogoń, przez pokryte śniegiem wzgórza i doliny.

— Stój, albo strzelę! — krzyknął wkońcu Alojzy.

Hrabia Werner nie zważał jednak na tę groźbę i biegł w szalonym pędzie dalej, bo wiedział dobrze, że kasztelan nie ma strzelby przy sobie.

Alojzy pędził za nim dużymi susami, bo obawiał się ,że im bliżej będzie wsi, tym prędzej spotka hrabia jakąś żywą duszę, która się nad nim zlituje.

Kasztelan szczęśliwy był, że wsadził hrabiemu knebel w usta, bo po pierwsze nie mógł on krzyczeć, a po drugie utrudniało mu to oddech, tak, że po krótkim czasie musiał nieszczęśliwy hrabia stanąć. Był bardzo zasapany i prawie na pół uduszony.

Tak więc Alojzy dogonił go ze sznurem w ręku i, uklęknąwszy związał w jednej chwili nogi swej ofiary. Uczynił to, z podziwu godną zręcznością i popatrzył z miną zwycięzcy na pokonanego hrabiego, który leżał rozciągnięty na ziemi.

— Przecież nic panu nie pomogło, panie hrabio! — rzekł drwiąco — mógł mi pan oszczędzić wiele trudu i męki!

Mówiąc to, oddalił się, aby przysunąć saneczki, które zostały w pobliżu jaskini. Hrabia zaś został ubezwładniony, spętany, z zakneblowaną gębą na ziemi.

Spojrzał błagalnie w niebo, a usta jego poruszały niemą, błagalną modlitwę o pomoc i wybawienie z rąk prześladowcy!

Czy Bóg litościwy wysłucha tę modlitwę?

W kilka chwil później ukazał się znów kasztelan ze swoimi saneczkami. Złożywszy na nie związanego więźnia, ponacinał znów sporą ilość gałęzi sosnowych, po czym przykrył nimi swego pokornego przeciwnika, tak, że go z pod zieleni nie było widać.

— Teraz jestem bezpieczny, gdybym nawet kogoś po drodze spotkał — rzekł do siebie Alojzy zadowolony — bo przecież nikomu nie przyjdzie na myśl, że ktoś jest ukryty pod tymi gałęziami!

Uspokojony zaprzągł się do saneczek i ciągnął pod górę, pocąc się co niemiara.

Hrabia Werner spoczywał nieruchomo pod swą zieloną nakrywą. Serce pękało mu z bólu i żalu. Na nic tyle trudu i mozołu! Na nic jego marzenia o wolności! Co za gorzkie rozczarowanie!

Okrutny jego ciemiężca ciągnął go napowrót do zamku Felseg. Był on teraz zdany zupełnie na jego łaskę i niełaskę!

— Czyż nie ma Boskiej sprawiedliwości?

— Nie trać nadziei, hrabio Wernerze i dla ciebie przyjdzie jeszcze dzień wybawienia!

ROZDZIAŁ CCXXXVII

Fatalny dzień

Panna Greta, baletnica, była w bardzo złym humorze.

Nic jej się w ostatnim czasie nie udawało. Nawet jej protektor książę Iffalwi.

Intryga jej z księciem Petöfim również się nie udała i Greta dotąd nie miała jeszcze nowego kochanka. Swoją drogą, nie był to sezon, gdyż arystokracja i magnateria była teraz w podróżach. Piękna tancerka była też bardzo wybredna w wyborze swego przyjaciela.

Musiał on być bogaty, a przytem nie stary i nie brzydki, bo taki Grecie był wstrętny.

W jej guście był książę Petöfy, ale ten nią pogardzał.

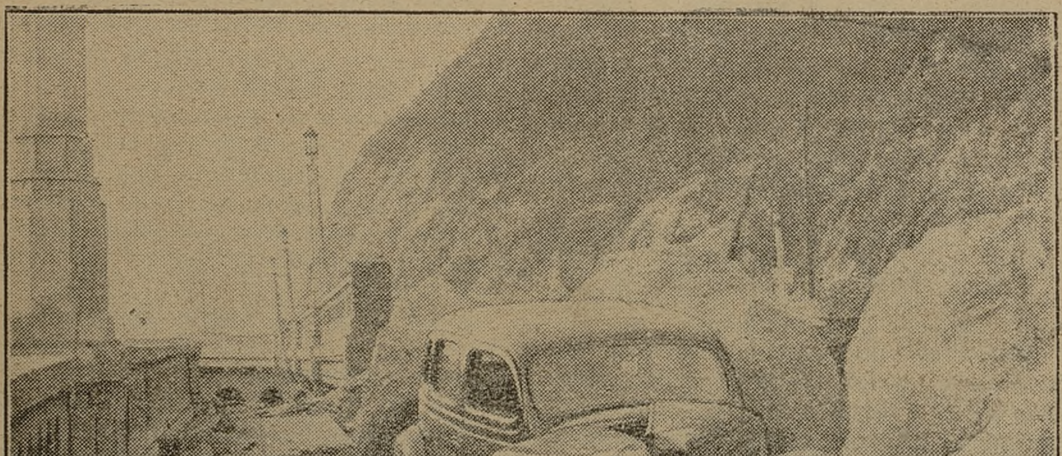
Greta leżała w negliżu, wątpliwej czystości, na kanapie w swoim salonie, którego krzesła i stół założone były suknią, żakietem, kapeluszem, rękawiczkami, wachlarzami i innymi rzeczami.

Wyglądało okropnie, ale piękna baletnica nie zwracała na to uwagi. Zajadała z wielkim apetytem kanapki, ale była widocznie w bardzo złym humorze, bo baletmistrz zganił ją ostro w czasie próby i na domiar wszystkiego, dał jej Lenę za przykład.

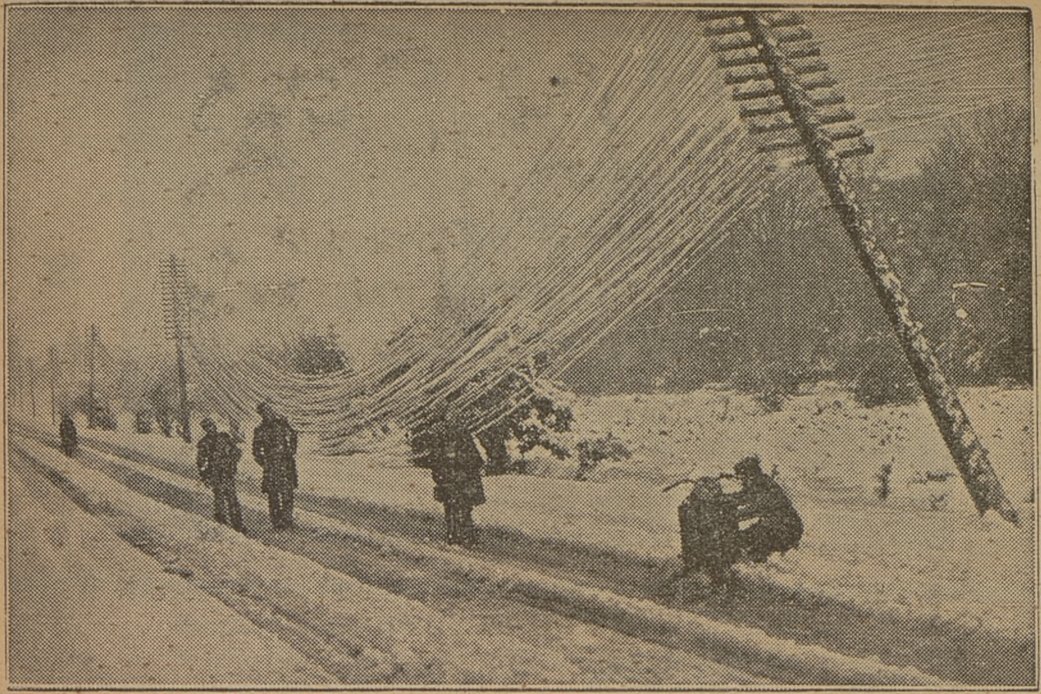
Koroną wszystkiego była jeszcze złe ukryta złośliwa radość jej koleżanek, które jej po kolei szyderczo wyrażały swe współczucie.

— Gdybym się tak zemścić mogła na tych głupich gęsiach! — mruknęła gniewnie, połykając ostatni kęs bułki. — Gdybym im mogła takiego figla spłatać, żeby je diabli wzięli na miejscu! Aha, już wiem, co zrobię!

Zerwała się z kanapy, chwyciła papier i pióro i zaczęła coś pisać. Szło jej to jednak bardzo trudno. Wykreślała bardzo często i pisała, potem znów kreśliła, gryzła w zamyśleniu obsadkę aż wreszcie zawołała starą Gremlową.



W pobliżu Los Angelos (U. S. A.) obsunęła się onegdaj góra, zasypując przebiegającą obok autostradę. Na zdjęciu zniszczony katastrofą samochód.



W Anglii szalała straszna burza śnieżna. Na zdjęciu zniszczone linie telegraficzne.

Kobiecina przybiegła w bardzo brudnym ubraniu z kuchni, gdzie była zajęta gotowaniem obiadu.

— Co tam, Gretko? — zapytała pokornie i uniżenie, biorąc wzgląd na zły humor swej pupilki — czyś mnie wołała?

— Naturalnie, żem cię wołała — rzekła baletnica gniewnie — siadaj tu i pomóż mi ułożyć ogłoszenie do gazety.

— Ogłoszenie do gazety? — powtórzyła Grammlowa zdziwiona — czy zamierzasz coś sprzedać, Gretko? Czyś się zaręczyła?

— Nie gadaj głupstw! — krzyknęła tancerka w złości — jeśli się ogłasza, to nie koniecznie sprzedaż ani zaręczyny. Chcę podać do gazet, że zgubiłam medalion wysadzony brylantami, wartość tysiąc reńskich i że uczciwego znalazcę stosownie wynagrodzę!

— Nie wiedziałam nawet, że masz taki drogi medalion! — zawołała Grammlowa z głupią miną.

— Bo też nie miałam żadnego! — ofuknęła ją Greta niecierpliwie.

— Jakże więc mogłaś go zgubić! — spytała stara, coraz bardziej skonfundowana.

— Ależ ja nic nie zgubiłam! — wściekała się znów Greta — nie byłabym przecież tak głupią, żeby gubić medalion za 1000 reńskich. Chcę tylko umyślnie taki inserat dać do gazet, aby Lenę, Pepkę, Lizę i resztę tej hołoty porządnie uzłościć. Chcę jeszcze dodać, że w medalionie tym był portret bardzo wysokiego oficera. Pomyślą one, że mam nowego bogatego kochanka i pękną z zazdrości!

— Aha! — rzekła Grammlowa uspokojona, zrozumiawszy nareszcie o co Grecie chodzi — wiem, już wiem! Chcesz kochane swe koleżanki ugniewać i masz zupełną słuszność! Ale ja ci nic przy tym nie mogę pomóc, Gretko, bo nigdy porządnie pisać nie umiałam. Wiesz co? Idź do kupca tu na rogu, niby coś kupić i poproś go mimochodem, aby ci taki anons napisał. On będzie zaszczycony, że go o to poprosisz!

— Ten kupiec tu z rogu ulicy? — mruknęła Gretka. Taki zasmarowany sklepikarz! Nie pójdę do niego!

— Ale on taki tobą zachwycony! — schlebiała stara — pyta się mnie zawsze, kiedy u niego coś kupuję: Co robi ozdoba Burgteatru? Pomyśl tylko Greto, on cię nazywa ozdobą Burgteatru! Ale jeżeli nie chcesz iść do niego, to idź do innego sklepu!

— Pójdę — mruknęła Greta zawsze jeszcze zła — czy obiad już gotowy?

— Nie, Gretko! — usprawiedliwiała się stara — robię dopiero ciasto do strudla jabłkowego.

— Wobec tego pojadę zaraz — zdecydowała się Greta — ale czekaj na mnie z obiadem!

— Naturalnie — rzekła Gramlowa i poszła do kuchni kończyć swój strudel.

Greta zrzuciła prędko szlafrok i zostawiwszy go na ziemi, włożyła elegancki aksamitny kostium z żakietem i kokieteryjnym kapeluszem tego samego koloru i zadowolona przejrzała się w lustrze, wkładając rękawiczki.

— O, jestem o 10 razy ładniejsza od tej sowy Leny i od tej żaby Pepki! — pomyślała — dlaczegobym nie miała kogoś złapać?

Myśl ta pocieszała Gretę i dodała jej odwagi. Schodząc ze schodów śpiewała wesołą piosenkę i patrzała wyzywająco w twarz każdemu przechodzącemu.

Wszedłszy do sklepu bławatów, kazała sobie podać do wyboru batystowe chusteczki z kolorowymi i ażurowymi brzegami. Podczas przeglądania rozpięła swój żakiet, wyjęła złoty zegarek z licznymi brelokami i spojrzawszy nań zawołała przestraszona:

— Boże mój, jak już późno! A ja chciałam zanieść ogłoszenie jeszcze przed drugą godziną do administracji gazety, aby zostało umieszczone jeszcze w wydaniu wieczornym. Nie mam już nawet czasu pójść do domu i ułożyć sobie ogłoszenie. Czy byłby pan taki dobry i napisał mi tych parę słów? — zwróciła się uprzejmie do pomocnika sklepowego, który skłoniwszy się, wyrwał kartkę ze swego notesu i wziąwszy ołówek do ręki popatrzył na Gretę z oczekiwaniem.

— Sto reńskich nagrody! — dyktowała baletnica — ma to być wydrukowane tłustymi literami jako napis, bo zgubiłam brylantowy, bardzo kosztowny medalion. Czy myśli pan, że muszę go dokładnie opisać?

— To niekonieczne, łaskawa pani! — odpowiedział chłopak jeszcze grzeczniej niż poprzednio. — Wystarczy, gdy napiszę: Sto reńskich nagrody dam temu, kto odda brylantowy medalion, zgubiony dnia tego i tego. — Tu musi nastąpić szanowny podpis pani.

— Nie, to nie wystarczy — zawołała Greta żywo — musi pan jeszcze dodać, że medalion był wartości 1000 reńskich i zawierał portret bardzo wysokiego oficera. Podpis mój: Greta Lessen, Schönbrunerstr. nr. 23.

Rozmowie tej przysłuchiwał się jakiś bardzo elegancki mężczyzna, który w pobliżu wybierał chusteczki fularowe. Przypatrywał on się pięknej baletnicy z zajęciem i przystąpiwszy do niej z kapeluszem w ręku, rzekł uprzejmie:

— Przepraszam panią, że się odważam dać jej radę, ale zdaje mi się, że najlepiej zawiadomić prezydium policji!

— Dziękuję panu — uśmiechnęła się Greta kokieteryjnie obserwując nieznajomego. Naturalnie, że dam znać i na policję, ale moim zdaniem, ogłoszenie musi być pierwej załatwione.

— Ja myślę przeciwnie — odpowiedział nieznajomy — i jeśliby pani pozwoliła, zameldowałbym to sam w biurze policyjnym. Idę tam właśnie, aby spowodować poszukiwania za moim kamerdynerem, który tej nocy uciekł, zabierając ze sobą dość cenne drobiazgi.

Gdy Greta usłyszała słowa „mój kamerdyner" nieznajomy urósł jeszcze o 100 procent w jej oczach. Uśmiechnęła się do niego słodko i odpowiedziała, że nie śmie nawet przyjąć tak wielkiej usługi od zupełnie obcego sobie człowieka.

— Ja jestem pani obcy — odpowiedział on z dużo mówiącym spojrzeniem — ale pani mi od dawna już nie jest obcą! Podziwiam panią z daleka jako gwiazdę baletu wiedeńskiego. Abym zaś dłużej nie był dla pani obcym, pozwoli pani, że się przedstawię: baron Reitzenstein!

Greta skłoniła się uśmiechnięta i uszczęśliwiona. Ta nowa znajomość tak ją zaabsorbowała, że zapomniała ona zupełnie o chusteczkach, które wybierała i dopiero chrząkanie znudzonego pomocnika sklepowego przypomniało jej, po co ona właściwie tu przyszła.

— Ach, byłabym prawie zapomniała o chusteczkach — rzekła Greta z kokieteryjnem spojrzeniem.

— A ja o swoim fularze! — zawołał baron Reitzenstein — patrząc na nią czule.

Wreszcie zdecydowali się i zabrali swoje sprawunki. Greta włożyła do kieszeni żakietu dane jej przez uprzejmego subiekta ogłoszenie i wyszła razem z baronem ze sklepu.

— Zdaje mi się, że mamy tę samą drogę — rzekł baron Reitzenstein uprzejmie — czy pozwoli pani, że jej będę towarzyszył?

Ciąg dalszy na str. 13.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

NOWY ROK

Gdy o północy biją dzwony
I Nowy Rok się rozpoczyna,
Naród się cieszy rozbawiony:
„Hej, kelner! Proszę nalać wina"!
W barach wołają: „Dać szampana,
Niech o swych troskach człek zapomni!
A za oknami drżą w łachmanach
Głodni, bez pracy i bezdomni...
Bo nie dla wszystkich wszak Rok Stary
Miał szczęście, radość, setki w złocie,
A los nie wszystkim zsyłał „dary"...
Kogo obchodzi bezrobocie?
Gdy o północy biją dzwony
I Nowy Rok się rozpoczyna,
Niejeden siedzi zasmucony
I cicho życie swe przeklina...

Mieczysław Grzegorski.

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni pp.: Eustachy Ścibor - Rylski, „Japonka", „Bella Donna", „Młody Marynarz z Żaglowca", „Marusia III", „Danka", „Zrównoważony", „Raula", „Czarowna Basia" z „Wesołej trójki z Bydgoszczy", „Jasny Felek", „Biały Tulipan" „Stenia z Ina".

KOCHANA PANI ZOSIU!

„Kochana Pani Zosiu! Czy mogę Panią w ten sposób nazywać? — nie wiem. Powie Pani może, że więcej poufałości, jak znajomości i będzie miała rację. Prawda? Jak można pisać do kogoś „Kochana", skoro tej osoby wcale się nie zna, a nawet nigdy w życiu się jeszcze nie widziało, nie mając nawet widoków zobaczenia jej.

A jednak użyłam tego zwrotu! Nie znam Pani, to prawda, jak również prawdą jest to, że pozostanie Pani dla mnie na zawsze nieznaną, otoczoną nimbem tajemniczości istotą, — że tak powiem „bajką".

Tak jak małe dzieci wierzą w bajkę, tak wszyscy „Krainiacy" ulegają również tej sugestii, z tą jedynie różnicą, że wierzą w Panią.

Kocham panią — nawet nie znając Jej. Kocham Ją za to samozaparcie się siebie, za te listy, pisane w tak pogodnym tonie do wszystkich „Krainiaków", za to niewyróżnianie nikogo i za tę tajemniczość, otaczającą Ją.

I nigdy nie chciałabym Pani zobaczyć. Proszę za to zdanie mnie źle nie zrozumieć. Gdybym Panią zobaczyła, zniknęłaby tajemniczość i stałaby się Pani, że tak powiem, bardziej powszednią, bardziej podobną do wszystkich. A tego nie chcę.

Chcę Panią na zawsze zapamiętać, jaką moja wyobraźnia Ją stworzyła. To ma więcej uroku!

Ale nudzę Panią i z góry za to przepraszam.

Siedzę w biurze i piszę list do Pani. Dlaczego? — Sama nie wiem. Uległam jakiemuś impulsowi. Głucha na całe otoczenie udaję, że świat i ludzie nic mnie nie obchodzą. A jednak ładnie dziś na świecie. W powietrzu wirują duże białe płatki śniegu, zataczają czarowne kręgi — aż wreszcie zmęczone do ostatnich granic, nie mogąc już dłużej się utrzymać, spadają na ziemię i pokrywają ją puszystym kobiercem.

Chciałabym razem z nimi pobujać w przestworzach — z tą jedynie różnicą, że nie pragnęłabym (i pragnąć nie mogła) spaść na ziemię i zostać zdeptaną przez brutalną stopę ludzką. Wolałabym wznosić się coraz wyżej i wyżej i nigdy nie wrócić. Marzenia nie do ziszczenia, a jednak takich ma się zwykle najwięcej. Proszę się nie śmiać. Mam taką głodną wrażeń duszę i nigdy nie mogę jej zaspokoić, chociaż na ogół dużo podróżuję. Polskę zwiedziłam już całą. W przyszłym roku wybieram się do Czechosłowacji.

No, marudzę i zajmuję Pani drogocenny czas — więc kończę, zresztą i na mnie praca czeka.

Czy przyjmie Pani takie niesforne stworzenie na członka swej „Rodzinki"?

Na poparcie swej prośby nie mam żadnych atutów. Poprostu tylko prośbę. Jak wyglądam? Jak jedna z wielu. Od siebie dodaję, że brzydka, bardzo brzydka!

Pozdrawiam wszystkich „Krainiaków" razem i każdego z osobna i kto ma szczere chęci — niech napisze do mnie."

Tak napisała Pani do mnie „Śnieżyco"! I dziwna rzecz, ale pisałaś ten list właśnie w dzień, w który tu u nas szalała prawdziwa śnieżyca — biała i zimna. A Ty napisałaś interesująco i niezimno. Tak! I gdybyś była załączyła równocześnie swój bliższy adres, byłabyś otrzymała ode mnie list jeszcze przed świętami, a byłby on na pewno niemniej od Twego ciekawy i... tajemniczy. Byłabym chętnie pomówiła z Tobą tajemniczo i może radośnie, co nie przeszkodziłoby oczywiście, że nigdybyśmy się nie poznały. Przecież boisz się, abym nie stała Ci się powszednią!

Żałuj, że nie otrzymasz tego listu — ja też żałuję, iż Ci go napisać i wysłać nie mogłam. Jesteś głodna wrażeń — rozumiem to i chciałam Ci przysporzyć jedno najmniejsze, ale nowe wrażenie. Szkoda!

Lecz ponieważ nigdy niczego żałować nie należy zbyt długo, a co za tym idzie — nudnie, przeto i ja przechodzę do radosnego i ciepłego przesłania Ci życzeń. Bądź koniecznie wesoła, i szczęśliwa we wszystkie dni świąt i w którejś natchnionej szczerością chwili napisz mi nowy ciekawy list, ale już z adresem. Oj, Ty „Śnieżyco", trochę zgodnie ze swym pseudonimem jesteś rozrzucona i niepewna — przecież listu nie może nikt z „Krainy" Ci wystosować skoro w redakcji nie ma Twego adresu. No — masz trochę niemądrą minkę? Nie szkodzi! Na pewno jest Ci z tym zmieszaniem do twarzy!

Jeszcze raz pozdrawiam Cię serdecznie i pozostaję pełna „względów i łaskawej pamięci" — tak, jak sobie życzyłaś.

MARZENIA

„Królewnie Linie"
— poświęcam.

Marzysz Dziewczyno o chłopcu,
śniąc złotych snów miraże —
Żyjesz Twym przyszłym szczęściem,
jak żyje wspomnieniem starzec!
Lecz zważ, Droga Dziewczyno,
czy warto żyć ułudą...
gdy życie nam nie skąpi
perlistych łez i trudu —?
Czy lepiej nie jest myśleć
o twardym trybie życia...
by po tym tryskać humorem,
miast łkać zawodem w ukryciu...?
Czy lepiej nie jest budować
swe szczęście hartem woli —
by żal nie wyrósł zwątpieniem —
na przyszłej życia — roli? —
Wszak nie żyjemy bajką,
a tylko prawdą życia...
Marzenia — wspomnieniem nikną
pieszczonym...
przez nas w ukryciu!

Jan Feliks Płócienník.

NIE JESTEŚ JUŻ SAMA

„Wisia". Droga Moja! Jest mi smutno i cieszę się, gdy czytam Twój ostatni liścik. Tłumaczę sobie słusznie, że nie powinnam zbyt tragizować tych urywanych słów, za którymi drżą łzy — że raczej winnam cieszyć się z tych łez, zza których wyłania się już świeży, jak jutrzenka obmyta w porannej rosie — uśmiech. I jest mi tak niezdecydowanie. Raz czuję, że brwi mi się zbiegają z przykrości, za chwilę uśmiech — wprawdzie trochę blady — wykwita na wargi.

I taka mi jesteś miła — w tej swojej zmienności, w tej pulsującej doznawaniem i odczuwaniem zmienności...

Nie jesteś już sama tam daleko w tym swoim Lublinie — masz dobrą myśl „Jasieńki". To dobrze. Napisz mi już szybko długi, długi list i może w nim podchwyci ton górny — pogodny uśmiech, wyzbyty już łez. Oby tak było!

Owszem, uważam, że winnaś rozszerzyć korespondencję z „Krainiakami" — oni umieją natchnąć człowieka pogodną myślą. A to znaczy wiele!!! Całuję Cię i w Twoim imieniu oznajmiam „Jasience", że dziękujesz jej za list oraz pozdrawiasz całą „Rodzinkę".

COŚ MI SIĘ WYDAJE...

„Wytworny Łazik" i „Poznańskie Wybijokno". Oj, mnie się zdaje, że Wy, dwaj weseli Panowie — coś za weseli w gruncie rzeczy jesteście. Nie chcę Was obmawiać, ale trochę zbyt zdajecie się mi być swawolni i rozbawieni. I za bardzo lubicie rozrywki, tudzież „noce pełne uroku" po papierosach i mocnej kawie w kawiarniach. Trochę mi się to nie podoba. No, ale sprawa nie jest jeszcze przesądzona — mogę się mylić.

„Wytworny Łazik" prosi o listy na poste - restante Poznań 1, na nr. książeczki P. K. O. H 262.526. „Poznańskie Wybij-okno" na legitymację nr. 1058.

Pozdrawiam uprzejmie.

...I PRZEŁAM SIĘ Z NAMI OPŁATKIEM!...

„Marzenka w Ameryce". Dziecino Droga — mówię do Ciebie pierwszy raz po Twoim odjeździe właśnie w numerze gwiazdkowym — w dzień, który u nas w Polsce jest najuroczystszy i najserdeczniejszy. Jest nim, jak wiesz, Wigilia. Chcę, aby w wieczór narodzenia Bożej Dzieciny i łamania się opłatkiem zaszły do Ciebie te słowa ciche, płynące z serca i najgłębszej sympatii. Nie wiem, czy i Państwo zasiądziecie starym polskim zwyczajem do stołu nakrytego śnieżną serwetą, pod którą tak delikatnie chrzęści pachnące siano, przejmując zgromadzonych uczuciem dziwnego rozczulenia. Czy w kącie złocić się będzie pieczołowicie zakonserwowany snop zboża, a w środku stołu bielić najcudniejszy, najsłodszy chleb dobroci, miłości i pojednania — opłatek! Nie wiem tego, lecz pragnę, aby tak było. Chciałabym, aby pierwsza Twoja Wigilia w obcym kraju nie minęła Ci też obco, lecz żeby była równie jak w Ojczyźnie uroczysta, nastrojowa i słodka. Nie ma bowiem bardziej cudnego i świętego zwyczaju, jak dzielenie się opłatkiem. Jedna łza wylana w tej pamiętnej chwili zdolna jest zmazać krzywdy i bóle najcięższe i zastarzałe i zbudzić w ich miejsce miłość i słodycz poświęcenia.

Nie ma chyba człowieka w Polsce, któryby nie drgnął wzruszeniem, gdy dotknie tego chleba pojednania i cudu.

Ty, „Marzenko" Droga, byłaś zawsze wrażliwa i czuła, pomyśl tam w tej dalekiej Ameryce ciepło o nas wszystkich, którzy zostawszy tu, nie przestaliśmy kochać Cię i pamiętać. I przełam się w myśli z nami opłatkiem. Nie wszyscy, jak ja, będą Ci mogli posłać prawdziwy z życzeniami dobrymi i uśmiechniętą zadowoloną myślą, że jest Ci tam dobrze.

Jeżeli i mnie wolno coś życzyć Sobie od Ciebie w tak piękny dzień — to poproszę o częste listy i małą w nich zawsze wzmiankę, czy nie zapominasz i nie przestajesz kochać ojczystego kraju. Na tym najbardziej mi zależy i tego po Tobie się spodziewam, Moja Ty Droga Przyjaciółeczko!

A teraz przechodzę do Twoich komunikatów:

„Halo! Humorystko — napisz do mnie długi list i opisz mi wszystko. Proszę Cię pozdrów Helcię Dąbrowską, pp. Jadzię, Genię i Marylę Kaźm., dalej pp. Karwowskie, Wikcię i w ogóle wszystkich moich znajomych i tych, którzy są w moim pamiętniku i Ty wiesz, prawda?! Albo się domyśl: K. W., K. M., Müllerównę G., B. S., A. R., Staszkę Kazicką, I. P., W. S., J. K., Zugchagenównę E. i M. i M. S.

Helcia, Ty też wiesz i domyślisz się o kim mówię. Zasyłam im wszystkim dużo pozdrowień i bądźcie zdrowi i piszcie!

I wiele, wiele słów serdecznych dla całej posyłam „Rodzinki" !

KOMUNIKATY, KOMUNIKATY!...

„Jaś — Sokół". Ogromnie dużo dajesz komunikatów, Mój Przyjacielu! Mam przed sobą cztery Twoje listy i zrobię Ci gwiazdkową niespodziankę, odpowiadając na wszystkie od razu i umieszczając wszystkie komunikaty. A więc ad rem:

„Halo! Serdeczne pozdrowienia zasyłam „Samotnej Myszce". Z kolegą T. pomówimy ustnie, jak przyjadę. Proszę Cię, pozdrów M. Biesza.

Trzem przyjaciółkom Lusi, Izi i Elusce zasyłam serdeczny uścisk dłoni.

„Szaremu Sokołowi" wołam nasze sokolskie „Czołem!" Napisz druhu, jak się Wam powodzi w waszym gnieździe.

„Rozśpiewana Izabello" — serdecznie dziękuję za pozdrowienie sokolskie, tylko czy przypadkiem nie jest to pomyłka? Jestem ciekawy skąd się znamy? Może Pani z łaski swej napisze pierwszą literę imienia lub nazwiska — sprawi mi to dużą przyjemność. Gdy będziemy się znali, może zdecyduje się Pani skreślić kilka słów do znanej osoby?

„Milutkiej Leni" bardzo dziękuję za pozdrowienie, a zasyłam jej moc uścisków dłoni.

„Szatynkę", „Wróżkę Alę" i „Królową Gizellę" bardzo przepraszam, że przesyłam tak spóźnione podziękowania za pozdrowienia, gdyż byłem teraz kilka tygodni nieobecny w domu, to też po przyjeździe zaraz odpisuję wszystkim. I jeszcze raz bardzo przepraszam i dziękuję za pamięć wszystkim!

„Szatynce" zasyłam serdeczne ukłony.

„Stęskniona Myszko" — przyjazd odkładam na później, gdyż na razie nie mogę.

„Milutkiej Lenie" dziękuję za pozdrowienia i czekam na liścik!

„Szatynka" — zasyłam uściski rączek.

„Wróżce Ali" życzę dużo dobrych wróżb. Eli, co to znaczy?...

„Samotnej Myszce" i „Stęsknionej Wali" zasyłam podziękowanie za miłe towarzystwo i gościnność w Waszym mieście i myślę może znów kiedyś wskoczyć tam i ubawić się serdecznie. Na razie ucałowanie rączek i śliczne pa!

„Elu" — pamiętasz tę „noc polarną"?

„Polna Różyczko" i „Danko z Pomorza" — co oznacza milczenie? Zasyłam Wam uśmiech radości i podajcie dłonie!

„Orianowi" przyjacielski uścisk dłoni!

Całej „Krainie" serdeczności i Czytelnikom „Moich Powieści" z okolicy Grudziądza dobre życzenia! Może się ktoś odezwie?...

P. S. Prenumeratę „Moich Powieści" ma Pan opłaconą do listopada br. włącznie.

MOŻESZ MI WIERZYĆ

„Samotny Rom". O jakżeż mnie ucieszyłeś i niejako skrzepiłeś twym listem, Dobry Przyjacielu! Jakże to dobrze mieć podobnych Tobie, rozdanych i uczuciowych przyjaciół. Było mi dziś wyjątkowo smutno, a Twój list wzruszył mnie przez tę delikatną serdeczność i bezpośrednie wyznanie.

„Ja tak samo, choć może nic się nie zmieniło na lepsze — czuję się mniej samotny, gdyż wiem, że o ile będzie mi coś dolegało, podzielę się tym z naszą „Mateczką" i jakoś ulży mi — prawda?"

Tak, Przyjacielu, ulży Tobie i da chwilę zadowolenia i pogody i mnie! I będzie nam z tobą dobrze — niejedno ciężkie westchnienie przeplecimy słodkim uśmiechem, a przez to doznamy niekłamanej ulgi, o którą przecież ciż tak bardzo chodzi.

Dobrze uczyniłeś, że zdecydowałeś się wziąć kierownictwo tego przedstawienia amatorskiego — przysłużysz się innym, a sobie zapełnisz wieczory.

Dziękuję Ci za wszystkie dobre gwiazdkowe życzenia, bardzo dziękuję! Nie stracę ochoty i siły do pracy — możesz mi wierzyć bo kocham swą pracę i uważam ją nie tylko za treść, ale nawet osłodę życia!

Moje dla Ciebie najserdeczniejsze życzenia i silny uścisk dłoni!!!

„Halo! Moc pozdrowień zasyłam „Córce Wichru", „Zawierusze", „Samiuteńkiej" i „Białej Uajali". Tej ostatniej obiecałem wystosować miły list, lecz nie znam adresu. Proszę o niego!

Dla całej „Krainy" życzenia świąteczne i pozdrowienia!

MOŻESZ BYĆ PEWIEN

„Lawrence". Tak, Panie „Lawrence" — czekałam długo na Twój list. Już nawet mówiłam kiedyś do Wujka Janusza, że zbyt długo nien odzywasz się do nas. Aż wreszcie przyszedł ten list świąteczny i ucieszył mnie ogromnie. Niemniej, jest tak, jak Pan pisałeś — masz słuszność najzupełniejszą. Nic tam zakwestionować nie mogę, a tylko zaznaczyć, że skoro znów zjawisz się kiedyś w redakcji pomówimy długo i serdecznie. Zastaniesz cały zespół w komplecie. Czy cieszy to Pana? Nie wiem, czy przeglądasz też od czasu do czasu „Moją Przyjaciółkę"? Wiem, że jak rzadko ktoś jesteś nam wszystkim życzliwy i jesteśmy tym wzruszeni. Nie zapomnimy też Pana — możesz być pewien!

Czekam na ten przyobiecany list obszerny, wesoły i serdeczny i zasyłając dobre życzenia, przechodzę do komunikatów:

„Paniom: „Sentymentalnej Lu", „Szatynce", „Nieznanej Dziewczynie", „Polnej Różyczce II" — uprzejmie dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je niemniej serdecznie.

„Przedwiośniu" składam wyrazy szczerego podziwu i szacunku za umiejętne i nad wyraz głębokie docenianie wartości życia.

„Smutna Niezapominajka". Pani rychłego powrotu do zdrowia. Z propozycji jednak nie mogę skorzystać".

„...BY GWIAZDKA BETLEJEMSKA PRZYNIOSŁA PANU RADOŚĆ TRWAŁĄ!

„Samotny — Chorzów I." Posyłam Panu moc życzeń świątecznych i z głębi serca płynącą wyrażam nadzieję, że nie będzie Pan sam spędzał nocy wigilijnej. Na pewno znajdzie się ktoś z rodziny, czy znajomych, z którym przełamie się Pan opłatkiem. Niech Pan wówczas poczuje na moment serdeczną życzliwość, jaką mam dla Pana ja i z pewnością duża część mojej „Rodzinki".

Może napisze Pan do „Starszej Panny" lub „Białej Uajali" — są to dwie, jak się to popularnie mówi, dobre dusze i inteligentne kobiety.

Jeżeli chodzi o przysłanie nam do oceny Pana nowel — to nie ma w tym specjalnych utrudnień. Zwyczajnie zapakuje Pan w kopertę, nalepi odpowiedni znaczek i przyśle na adres redakcji „Moich Powieści". Reszta należy już do mnie.

Pozdrawiam Pana raz jeszcze i życzę, by Gwiazda Betlejemska przyniosła i Panu radość trwałą i szczęście!

NAJSZCZERSZE ŻYCZENIA

„Bogda". Kochana Dziewczynko! Napisałaś mi bardzo długi i bardzo szczery liścik, więc dziękuję Ci za to! W liście tym leciutko skarżysz się na swój los. Może to i nic złego, ale wolałabym, abyś mówiła o sobie zawsze z zadowoleniem. Bo ostatecznie od Ciebie tylko zależy, abyś pogodziła się z tym, co Ci życie niesie i potrafiła nawet z zwykłych zdarzeń codziennych wziąć maksimum zadowolenia. Wszak prawda?

Załatwiłam dzisiaj już tyle listów i tyle złożyłam już życzeń, a Tobie, Dziewczynko Maleńka, cóż mam życzyć? — aby wreszcie stało się coś takiego, co nadałoby życiu jakiś realny wyraz, aby spełnił się ten sen, śniony przez wszystkie młode serca! Życzę bardzo, bardzo szczerze!

SŁYSZYSZ?...

„Zuch — dziewczyna". Maleńka Moja Dziewczynko! Słyszysz, jak duszki radosne zlatują na ziemię, aby rozsiać po wszystkich ludziach moc radości i szczęścia?... Życzę Ci mocno, aby jeden z tych duszków, ten ze złotą strzałą, stanął za Tobą i... przemieniwszy się w promień Twego wzroku — ugodził celnie w jedno dobre serce! I żeby rozpromieniło Ci się wszystko dokoła nim jeszcze błyśnie pierwsza wigilijna gwiazda i na świat spłynie uroczysta, słodka cisza... Cisza, która niesie szczęście i błogosławieństwo!

Teczka Wujka Janusza

CÓŻ POZOSTANIE?

„Niesforna Lula". Refleksje Pani są bardzo nastrojowe i piękne, jednakże ujęte w nowelkę nie dają należytego efektu. Gdybym napisał, że pisze Pani słabo — wyraziłbym się nieściśle, ale nie mogę także powiedzieć, że pisze Pani dobrze. Cóż za tym Pani pozostanie? Otóż usunąć różne takie niepotrzebne naleciałości z swego stylu i uczynić go lekkim, prostym i wdzięcznym. W tym celu proszę dużo czytać. To Pani bardzo pomoże, a przede wszystkim nauczy, jak tworzyć, aby całość danej nowelki, artykułu czy wierszyka — nie raziła, ale ujmowała.

Dopisek, przeznaczony dla „Krainy", oddałem do własnych rąk p. Zofii. O ile się nie mylę, to już w bieżącym numerze zostanie Pani przyjęta do grona szczęśliwych „Krainiaków".

Łączę dla Pani dużo, dużo miłych pozdrowień!

TRUDNO...

P. T. R. O. „Ktoś", doskonale Panu znany, ogromnie czuwa nad tym, aby każdy wierszyk Pana został skrupulatnie przejrzany i następnie zakwalifikowany do druku. Chciałbym temu „komuś" iść jak najdalej na rękę, więc wszystkie wierszyki pilnie składam do teczki — proszę mi jednak darować jeżeli nie wszystkie zostaną wydrukowane. Pan rozumie... nieraz jedno zdanie, źle ujęte, psuje całość najefektowniejszego wiersza i próżno wtedy kierować się jakimś życzeniami lub sympatią. Z nadzieją, że zrozumieliśmy się, przesyłam Panu przyjacielski uścisk dłoni i gorące życzenia świąteczne.

NA ROZDROŻU

Droga biegnąca wężem za wieś.
Drzewa wyrosłe w pion...
śnieg się sypie płatami
leniwie —
Szarość pól
zamienia w lśniący szron.
Niedaleko, na małym zakręcie,
pod topolą —
metalowy krzyż.
Ktoś się modlił tu niedawno,
jeszcze wczoraj —
Dzisiaj
śnieg „przyprószył" śpiż.
Śnieg zasypał... i zapomniał...
ślad niewielkich stóp,
Co szły tędy, polną drogą,
może wczoraj —
Dziś im
śnieg usypał grób.

Tadeusz Rawicki.

Z DALEKA

Z cichej dali, ciemnej dali
płynie do mnie twa tęsknota
na błękitnej wiatru fali
i me serce cicho mota
nicią wspomnień jak pajęczą
sieczą, lekką i przejrzystą,
co się cudną tęczą mieni,
rozegraną, promienistą.
Z cichej dali, ciemnej dali
płyną do mnie myśli twoje
i me serce w łzach skąpane
napełniają niepokojem.
Z cichej dali, mrocznej dali
płynie smutek mój do ciebie,
dziwnym szeptem wiatr się żali,
pierwsze gwiazdy lśnią na niebie...

Krystyna Korewicka.

LIŚCIK TWÓJ PRZYNIÓSŁ MI NIEOCZEKIWANĄ WIADOMOŚĆ...

„Bajka". Siedzę oto nad liścikiem Pani i przyłapuję się na dziwnym, zgoła niemęskim uczuciu. Gdzieś tam w gardle czuję łzy. Niewątpliwie tak samo czuje się ogrodnik, gdy na troskliwie pielęgnowanej grządce, zginie mu najpiękniejsza, najwięcej umiłowana roślinka. Tak, „Bajko", liścik Pani przyniósł mi nieoczekiwaną wiadomość i na pewien czas wytrącił mnie z równowagi. Cóż, należałoby pogodzić się z losem, z przeznaczeniem, a jednak!... Co do twej wzmianki. „Bajko, to stanie się tak, jak sobie życzysz. A więc pożegnamy godnie pamięć Tej, która przez tyle lat żyła wśród nas jasna, jak poranek i zawsze dego ujmuje i zachwyca. Żegnaj, „Bajko" i piękna tym pięknem wewnętrznym, które każnapisz do mnie znowu!

ZIMA!

Siedzę przy oknie,
w ręku książkę trzymam
i patrzę w dal
szeroko rozwartymi oczyma.
Świat taki biały,
płaty śniegu lecą
i swym czystym blaskiem
ślepią, w oczy świecą.
Drzewa i dziadki siwe
z brodami do ziemi,
kamienie, pagórki
bez szarawych cieni — — —
Wokoło tak biało
i tak jakoś radośnie,
że nawet nie myślisz
o słonecznej wiośnie.

Tadeusz Maria Mański.

Raj kobiet



Bardzo ładne i gustowne modele kostiumów narciarskich, wśród których znajduje się również piękna sukienka, odpowiednia na ślizgawkę, zrobiona z błękitnego aksamitu i obszyta przy szyi i u dołu białym futrem

Kamea markizy Pampadour

Zbiory rodziny Hommais, które zostały przed kilku tygodniami rozsprzedane pomiędzy poszczególnych kolekcjonerów i amatorów rzadkości, drogą licytacji, w Tuluzie, należały do najbogatszych, a także do najoryginalniejszych we Francji. Zbiory te zawierały nietylko szereg przedmiotów o wielkiej wartości artystycznej,, ale znajdowały się w nich też rzeczy, mające wysoką cenę, ponieważ związały się z nimi niezwykle ciekawe zdarzenia.

Jednym z najcharakterystyczniejszych przedmiotów kolekcji była misterna, malutka płaskorzeźba z alabastru, nazwana w katalogu „Kameą szczęścia", Kameę szczęścia nabył pewien amerykański kolekcjoner, płacąc za nią 9500 franków. Cenę tę osiągnęła kamea, ponieważ rzekomo posiada ona magiczne właściwości.

Z jakich czasów właściwie pochodzi „kamea szczęścia" nie jest wyjaśnione, ponieważ znawcy mają co do tego podzielone zdania, być może, że zrobił ją jakiś grecki, albo rzymski rzeźbiarz w zaraniu ery chrześcijańskiej, być może, pochodzenie jej jest nowsze, wiadomo tylko na pewno, że kamea należała do markizy Pompadour.

Markiza Pompadour wierzyła, że kamea przynosi szczęście. Istotnie, kiedy ją posiadała, szczęście jej dopisywało. Osoby, które miały kameę po pani Pompadour również stwierdziły że wpływała ona pomyślnie na ich losy. W dokumencie, który dołączony jest do kamei, wyszczególnione są dziwne zdarzenia, w których grała rolę. Dokument ten wraz z magicznym klejnotem przeszedł na własność Amerykanina.

W czyim posiadaniu była kamea szczęścia po śmierci pani Pompadour, aż do czasów Napoleona III, dokument dokładnie nie wyszczególnia. Wiadomo, że w roku 1865 kameę dostał w spadku po swym wuju George Hanel, będący wówczas kancelistą, w ministerstwie spraw wewnętrznych. W kilka tygodni po odziedziczeniu kamei George Hanel odznaczył się sprytnym i szczęśliwym przeprowadzeniem jakiejś sprawy, na skutek czego awansował. Po pięciu latach już objął wysokie stanowisko w ministerstwie i stanął na progu wspaniałej kariery. Straszliwe wydarzenia czasów paryskiej komuny w roku 1871 obróciły w niwecz wszystkie jego nadzieje. Podczas rządów motłochu w Paryżu George Hanel ukrywał się w mieszkaniu jednego ze swych podwładnych. Miał przy sobie kameę szczęścia. Kiedy komunardzi napadli na dom, w którym mieszkał Hanel, tłum wtargnął do jego mieszkania. Hanel został ranny i padł bez przytomności na ziemię. Napastnicy sądzili, że już umarł. Po ich odejściu Hanel wrócił do przytomności i zdołał zbiec do jednego ze swych przyjaciół, po czym opuścił Paryż. Ocalenie życia zawdzięcza temu, że nóż, którym go pchnięto, trafił ostrzem w kameę, oślizgnął się po niej i ominął serce.

Następnym posiadaczem kamei był normandzki poborca podatkowy, Jakub Binet. Był on bardzo przesądny i wierzył w magiczną moc kamei, wobec czego nosił ją zawsze na szyi na łańcuszku.

Pewnego dnia Binet wybrał się z przyjaciółmi na wycieczkę łódką na morze. Kiedy był w dużej odległości od brzegu, zerwła się burza i fale przewróciły łódkę. Towarzysze Bineta potonęli, on sam byłby też utonął, bo nie umiał pływać. lecz łańcuszek kamei zaczepił się o wystający gwóźdź w przewróconej łodzi i to pozwoliło Binetowi, uchwycić się łodzi, i przetrwać tak, aż do czasu, kiedy zjawiła się pomoc.

Binet zapisał kameę swemu siostrzeńcowi, lekarzowi w Prowansalii, Karolowi Bireille. Bireille bardzo sceptycznie zapatrywał się na amulet. Będąc któregoś dnia w potrzebie pieniężnej, chciał sprzedać kameę w Marsylii. Idąc do antykwariusza, któremu zamierzał ją zaproponować znalazł na ulicy woreczek, napełniony sztukami złota. Będąc uczciwym człowiekiem, odniósł woreczek do komisariatu, policji. Ponieważ właściciela woreczka nie odnaleziono, trzecia część złota stała się własnością znalazcy.

Zanim jednak wszystkie formalności zostały przeprowadzone, Bireille nie mając pieniędzy, musiał sprzedać kameę, Antykwariusz, który ją nabył, sprzedał kameę do zbiorów rodziny Hommais skąd teraz trafiła do rąk amerykańskiego zbieracza.

Kosmetyka elegantki sprzed 1600 lat

Musiała to być bardzo wytworna i dbała o swój wygląd dama, której kości niesiono niedawno w ołowianej trumnie na starym rzymskim cmentarzu w Saint Gervais we Francji. Określono jej wiek na „bagatelkę", bo... 1600 lat.

W kamiennym sarkofagu znaleziono ołowianą trumnę, a w niej przy mizernych resztkach szkieletu olbrzymią ilość buteleczek i słoików. Zawierały one nietknięte przez nielitościwy czas szminki, pudry i inne kosmetyki.

Istniał rzeczywiście zwyczaj rzymski, że elegantkom wkładano do trumny to, czego najczęściej używały za życia. Obecność kosmetyków w trumnie nie jest więc nawet tak bardzo dziwna.

Świat i życie

Tajemnice psiej psychiki

Czy pies rozumie mowę ludzką? Uczeni, którzy w tej kwestii głos zabierali, utrzymują, że inteligencja naszych czworonożnych sympatycznych towarzyszów tak daleko nie sięga. Twierdzą, że pies, tak jak i inne zwierzęta, reaguje jedynie na intonację głosu ludzkiego, natomiast poszczególne wyrazy nie są dla niego zrozumiałe. — W swoim czasie zyskał wielki rozgłos „cudowny" pies Cunny, który przez właściciela przedstawiony był psychologicznemu instytutowi dla zwierząt przy uniwersytecie Columbia. Owym nadzwyczajnym okazem psiego rodu był pospolity owczarek, który rzekomo „rozumiał" około trzystu wyrazów i potrafił je dokładnie rozróżniać. Egzamin rozpoczął się usadowieniem Cunny'ego na krześle, po czym pan jego, włożywszy ręce do kieszenie, odwrócił się doń tyłem, ażeby zadokumentować niemożliwość dawania psu jakichkolwiek porozumiewawczych znaków. Następnie właściciel wygłaszał kolejno różne rozkazy: „Idź do stołu"!, „Połóż łeb na stole!", „Wskocz na stół!", „Spójrz na okno!" i wiele innych. Pies wszystkie polecenia najdokładniej wypełnił.

Zdany tak świetnie przez Cunny'ego egzamin nie zdołał jednak profesorów ostatecznie przekonać, że pies mowę ludzką rzeczywiście rozumie. Wysuwano m. in. argument, że mowa ludzka, będąca głosową reakcją duszy człowieka na objawy świata zewnętrznego, nie może być w żadnym razie rozumiana przez stworzenie duszy tej nieposiadające.

W innym wypadku „psią inteligencję" poddawano próbie przy użyciu fonografu, przy czym jakiekolwiek fizyczne oddziaływanie „pana" na zwierzę było z natury rzeczy całkowicie wykluczone. Obserwatorzy zajęli miejsca dokoła aparatu, po czym z tuby poczęły rozlegać się krótkie słowa komendy. Pies wszystkie usłyszane rozkazy spełnił sumiennie, dając tym samym dowód, że nawet „oderwane" od powłoki cielesne dźwięki głosu ludzkiego oddziałują we właściwy sposób na zmysły czworonoga. Gorzej wypadł egzamin „z języków obcych", z którego to przedmiotu „kandydat" ściął się co się zowie, nie reagując absolutnie na żadne komendy, wykrzykiwane przez fonograf w mowie cudzoziemskiej. Okazało się, że pies rozumie tylko język, w którym odebrał swoją „edukację".

Jak wiadomo, pies potrafił doskonale odróżniać głos swego pana od każdego innego, jednakże obserwacje, poczynione w związku z działaniem radia, ujawniły nieznane dotąd momenty psiej psychiki. Ciekawe były spostrzeżenia, dokonane przez żonę pewnego prelegenta radiowego. Ilekroć z aparatu rozlegał się głos „pana", pies porywał się z miejsca, podbiegł ku głośnikowi i jął starannie go obwąchiwać. Po chwili jednak zainteresowanie, wzbudzone usłyszeniem znajomego głosu, mijało; pies powracał do legowiska i skuliwszy się, drzemał dalej. Stąd można wywnioskować, że głos sam przez się nie upewnia w dostatecznej mierze zwierzęcia, że daną osoba w rzeczywistości do niego przemawia. Dla psa każdy objaw staje się faktem rzeczywistym dopiero z chwilą, kiedy potwierdzi go zmysł powonienia. Aż do tego momentu wszystko, jak się zdaje, jest dla niego mniej lub więcej — fikcją.

Ze świata

W ziemi poszukiwaczy złota

Z okazji wcielenia terytorium Yukonu do prowincji Brytyjskiej Kolumbii, pojawiły się w prasie Kanady artykuły poświęcone temu znanemu w całym świecie zakątkowi świata. Kanada podzielona na powincje (nie „stany" jak czasem mylnie podają) pozostawiła duży szmat kraju na północy pod bezpośrednim rządem władz centralnych w Ottawie. Podczas gdy prowincje mają autonomię północ nie rządziła się sama. Te części Kanady określano nazwą „territorio" i miano ich 4. Yukon, Mackenzie, Keewatim, Franklin. Obecnie pozostaną tylko trzy ostatnie. Terytorium Yukonu, nazywane też Klondyke, było centralnym punktem gorączki złota, największej jaką znają dzieje ludzkości. Ta dzika część Kanady natchnęła autorów jak Jack London, Robert W. Service, Elizabeth Robins i stała się miejscem powstania nowego prądu w literaturze. Yukon też dostarczył Charlie Chaplinowi tematu do jednego z najlepszych jego filmów (Gorączka Złota).

Pierwszego odkrycia złota dokonano tu w r. 1896; po dziś dzień żyje wielu z tych poszukiwaczy, którzy na wiadomość o odkryciu w Bonanza Creek, kosztem ogromnych wysiłków, gnani chęcią zbogacenia się, ruszyli tłumnie na daleką północ. Pierwszymi odkrywcami byli prospekterzy: Cormack i Henderson. Terytorium Yukonu wynosi 207.000 mil kwadratowych, jest więc dwa razy większe od Anglii, liczba zaś ludności wynosząca 27.000 w 1901 r. spadła w 1911 do około 9000 a obecnie wynosi 4.230. Tych kilka cyfr zawiera w sobie historię tego zakątka świata. Staje się to jeszcze wymowniejsze, gdy liczbe mieszkańców zestawimy z liczbami odnoszącymi się do produkcji złota. I tak w ciągu pierwszych lat wydobyto około 30.000.000 funtów szterlingów. W samym 1900 roku wartość złota wydobytego tam przedstawiała sumę 4.500.000 funtów szterlingów. Cała zaś produkcja 1935 r. nie dochodziła do 250.000 funtów szterlingów. Ciekawym jest to, że złoto pochodziło z wielkich kopców piasku i ziemi, z których wydobyli już złoto pierwsi poszukiwacze, a w których teraz wynajduje się przeoczone wtedy skarby.

Około 1920 r. Yukon przeżył raz jeszcze coś jakby gorączkę, tylko już nie złota lecz srebra. Odkrycie okazało się jednak nieznaczne i od tego czasu Dawson stolica Yukonu żyła wyłącznie prawie z turystów.

Okropną swą opinię zawdzięczał Yukon przede wszystkim rozmaitym urzędnikom i ludziom, którzy tam u innych pracowali. Rządy na Yukon zaraz prawie po odkryciu złota, objęła Królewska Konna Policja kanadyjska, która umiała się tak postawić, że „czarne charaktery" wolały unikać okolic, nad którymi czerwoni policjanci mieli jurysdykcję.

Ponieważ Alaska wąskim pasem schodzi daleko na południe i oddziela Yukon od morza, więc większość poszukiwaczy lądowała w Skagway, poczem przedzierała się do Yukonu. W pewnym momencie poszukiwaczy zatrzymywała policja Kanady. Patrol badał, czy przybysz ma ze sobą prowiant na dwa miesiące, o ile go nie miał, to musiał zawracać.

Jak zarabiają na życie członkowie rodu Romanowych

Jeden z największych domów towarowych w Nowym Jorku ogłosił niedawno szumne reklamy, zapowiadające, że otwiera u siebie zakład fotograficzny, którym kierować będzie wielka księżna rosyjska. W Stanach Zjednoczonych żyje obecnie pięcioro przedstawicieli rodu Romanowych, przeważnie bliskich krewnych zamordowanego cara, a wszyscy niemal muszą zarabiać na życie.

Z pośród nich stosunkowo najlepiej daje sobie radę wielka księżna Maria Pawłowna, która rozwiódłszy się ze szwedzkim następcą tronu, przybyła do Ameryki i w krótkim stosunkowo czasie pozyskała kierownicze stanowisko w wielkim magazynie mód przy Fifth Avenue w Nowym Jorku. Panie z najwyższego i najbogatszego towarzystwa ubiegały się o toalety z magazynu, którym kieruje wielka księżna i była następczyni tronu szwedzkiego. Nie tylko snobizm skłaniał je do tego, gdyż Maria Pawłowna okazała się wytrawną znawczynią mody i umiała dawać swym klientkom doskonałe rady. Projektowane przez nią modele sprzedawano po fantastycznych cenach, figurowały one jako naczelne wskazania mody na tytułowych stronicach wielkich czasopism kobiecych. Z karierą tą Maria Pawłowna zerwała dopiero wówczas, gdy zdecydowała się napisać swe niezmiernie interesujące pamiątki, które tłumaczone na liczne języki, przyniosły jej 300 tysięcy dolarów. Następnie wykształciła się na zawodową fotografkę i objęła kierownictwo wyżej wspomnianego zakładu fotograficznego, który cieszy się ogromnym powodzeniem.

W pobliżu domu towarowego, w którym mieści się zakład fotograficzny Marii Pawłowny, widnieje wielki magazyn gotowych ubrań męskich i damskich. Klientów tego magazynu przyjmuje wielki książe Jerzy Konstantynowicz, który wykształcił się na szefa recepcji w filii tejże firmy w Miami. Młody książę roztacza w magazynie ten sam wdzięk i uprzejmość z jaką wieczorami po ukończeniu pracy zabawia damy w salonach Vanderbildtów, Astorów czy Morganów.

Jeden z jego kuzynów, książe Czawczawadze, małżonek księżniczki Niny Georgijewny zajmował przez dłuższy czas podobne dobrze wynagradzane stanowisko w biurze linii okrętowej. Pewnego dnia dano mu inne zajęcie, opłacane o wiele gorzej. — Wówczas na pomoc pośpieszyła mu żona, która w okresie dobrych zarobków zdążyła się wyspecjalizować w architekturze wnętrz. Wysoce uzdolniona, obdarzona również talentem malarskim księżna zarabia dziś w tej dziedzinie kilka razy więcej od swego męża.

W Ameryce przebywa także książę Bazyli Aleksandrowicz, brat hrabiny Ireny Jussopow, której mąż zabił Rasputina. Książę Bazyli wydał przed paru laty książkę p. t. „Byłem ongiś wielkim księciem", która zdobyła dość duży rozgłos, ale nie przyniosła autorowi spodziewanych korzyści materialnych. Po wielu nieudanych próbach zdobycia sobie stanowiska w różnych gałęziach pracy zawodowej został książę Bazyli podróżującym agentem pewnej fabryki perfum. Objeżdża całą niemal Amerykę i cieszy się opinią utalentowan go, przedsiębiorczego sprzedawcy.

Nie pracuje natomiast zarobkowo piąta przedstawicielka rodu Romanowych w Ameryce, księżna Ksienia Georgijewna. Wkrótce po przybyciu do Stanów Zjednoczonych zaślubiła ona króla zapalczanego Leedsa. Rozeszła się z nim potem, ale sąd nałożył na męża obowiązek wypłacania jej bardzo wysokich apanaży. Jest ona więc jedyną krewną ostatniego cara, która na wygnaniu mogła zachować tę samą, co ongiś stopę życiową.

Bukiet róż dla narzeczonej

Gdy przebiegamy ulice wielkiego miasta, spotykamy często mniejsze lub większe kwiaciarnie. Poprzez wystawowe szyby wyglądają żółte, delikatne mimozy, wspaniałe róże, storczyki, czy tulipany wabiące nas gamą barw, i całe mnóstwo innych pięknych kwiatów.

Na szybach wystawowych niektórych kwiaciarni widzimy napis „Fleurop". Oznacza to, że kwiaciarnia należy do międzynarodowego pośrednictwa handlu kwiatami.

Wchodzimy do sklepu. Odurza nas zapach kwiecia. Rozglądamy się: Pochylony nad ladą młody człowiek wybiera herbaciane róże.

„Proszę je dobrze zapakować — zwraca się do kwiaciarki — i dzisiaj jeszcze wysłać do Wiednia" Po czym wymienia nazwisko osoby, do której mają być kwiaty wysłane oraz podaje jej adres.

Na ustach kwiaciarki zjawia się delikatny uśmiech.

„Więc życzy sobie pan, aby przesłać te kwiaty za pośrednictwem „Fleuropu" do Wiednia? Szkoda, że nie zakomunikował nam pan zaraz na wstępie, gdyż wówczas zaoszczędzilibyśmy sobie nieco roboty. Gdybyśmy te róże wysłali do Wiednia, to przesyłka by na miejsce zwiędnięte. Dlatego zlecenia klientów załatwiamy w inny sposób, niż się panu zdawało".

Tu nastąpił mały wykład, który młodego człowieka kupującego kwiaty, jak również nas wprowadził w zdumienie.

„Tutejsze sklepy, wyjaśniała usłużna kwiaciarka, przyjmują pieniądze za zamówione kwiaty i odsyłają je do międzynarodowego biura rozrachunków, znajdującego się w Szwajcarii. Jednocześnie zamówienie na kwiaty uskutecznia się listownie lub telegraficznie, o ile jest ono pilne, w jednej z kwiaciarni wiedeńskich, należących do tego samego towarzystwa. W zamówieniu podaje się dokładny adres odbiorcy, oraz dzień i godzinę, w której to zamówienie ma być zrealizowane.

Wiedeńska kwiaciarnia zaraz po otrzymaniu zamówienia przygotowuje odpowiedni bukiet róż i przesyła pannie, czy pani X od pana Y mieszkającego w Warszawie, Berlinie, Mediolanie czy Bombaju. Róże są świeże i piękne, bo nie odbywały dalekiej podróży. Oczywiście, że kwiaty takie drogo kosztują, bo do ceny kupna dochodzą koszty związane z pośrednictwem kwiaciarni.

Mimo to wielu jest ludzi, powierzających zamówienia temu międzynarodowemu towarzystwu, którego sieć rozciągają się na całą kulę ziemską. W lecie stęsknieni słomiani wdowcy zamawiają kwiaty dla swych ukochanych żon przebywających na wywczasach nad szafirową Adrią, czy nad zielonymi wodami Bałtyku. Innym znów razem czuły narzeczony poleca wręczyć kwiaty narzeczonej płynącej na transatlantyku z Nowego Jorku do Gdyni" — zakończyła swe interesujące uwagi kwiaciarka.

JAN FELIKS PŁOCIENNIK

Chłopiec z gazety

NOWELA

Wśród białej zadumy, przedzierał się potok górski, szemrząc dziwną opowieść o szczęściu i łzach, które tak długo płynąć będą z ócz ludzi uciśnionych, dopóki nie runie w otchłań wszechświat, by po tym Bóg stworzył nowe życie ,tryskające radością i kochaniem wszystkiego, co z rąk Jego stworzonym będzie...

Zosia była wsłuchana w szept błogosławionej natury ,patrząc w bezkresną dal, gdzie wokół prószył drobnymi płatkami gwiezdny śnieg, otulając ziemię — tak, jak otula matka białą kołderką swe kochające dziecię.

O, jak szczęśliwa czuła się młoda dziewczyna wśród otaczającej ją jeno natury, zdala od ludzi, wiodąca ciche rozmowy z swym sercem i wołaniem ciszy.

Gdzieś na odległym zegarze miasteczka wybiła późna godzina wieczorna, której echo wtapiało się zwolna w zimową ciszę...

Wszak o tym czasie miała być Zosia na balu, gdzie są jej niemal wszystkie koleżanki, wiodące ożywione rozmowy z chłopcami, którym czas szybko biegnie przy świetle reflektorów, płynących w takt nastrojowego tanga.

Młoda dziewczyna wie o tym, że bawiłaby się również wesoło, gdyż jest świadoma swojej piękności, lecz wybrała z pośród dwóch — otoczenie niewysłowionego czaru i piękna złotych gwiazd, które błyszczą jak brylanty na granatowym płótnie nieba i dziwnie harmonizują z śnieżnym kobiercem ziemi.

Zgrabna sylwetka dziewczęcia, ubrana w zimowy strój z piękną czapeczką futrzaną na głowie, spod której spływały złote loki włosów, przyprószone lekko białym śniegiem, wyglądała na tle natury — jak anioł, błogosławiący śpiących w pobliskich chateńkach dobrych ludzi.

Zosia marzyła o szczęściu, które zda się jest jeszcze bardzo daleko od niej, choć wprawdzie czuje ciepło jego tuż blisko siebie...

— Boże, który jesteś w niebie, spraw, bym pokochana była przez Jurka — tak, jak i ja go kocham całym sercem i duszą... — wyrwały się nagle słowa modlitwy ku Stwórcy z koralowych usteczek dziewczęcych. — O, Boże, jeśli prawdą jest, że modlitwy gorące twych owieczek wysłuchane przez Ciebie będą, w co tak bardzo nauczyła mnie wierzyć mama, niech i moja prośba nie zostanie bez echa i niech nie rani zły los mojego serca... Niechaj mimo odległej przestrzeni serca nasze złączą się w wspólnej miłości, opromienione blaskiem Wiary...

Modlitwa płynąca z głębi serca wraz z wtórującym poszeptem zimowego potoku wznosiła się po opadających gwiazdach śniegu ku górze, skąd spływała po chwili echem kojącej odpowiedzi uspokojenia.

Lekki wiatr, który musnął śnieżnym pocałunkiem dziewczę w zgrabny nosek i piękne oczęta ukryte wśród czarnych, długich rzęs — wyrwał ją z zadumy, przypominając, że czas już jest, by pożegnać wiernych przyjaciół osamotnienia i ruszyć do domu...

Zosia obrzuciła raz jeszcze dobrym spojrzeniem pustkę wokoło i skierowała się ku małemu miasteczku, zwalczywszy w duchu pokusę zobaczenia chociażby z daleka domu zabawy, postanawiając zaraz położyć się do lśniącego białą łóżeczka, które dodaje więcej otuchy do życia, aniżeli nieprzespana noc.

W dole migotały gdzieś niegdzieś blade światła, które nie były potrzebne, gdyż śnieg świecił swą bielą ponad siłę sztucznego blasku...

Rozmowa z naturą dziwnie jakoś pokrzepiła młodą duszę i serce dziewczyny — tak, że wracając do domu czuła się szczęśliwą i zadowoloną z życia, które dał jej Stwórca w udziale.

Kiedy znalazła się na prostej drodze do miasta, usłyszała nagle dobiegające kroki z oddali, pod którymi skrzypiał równomiernie śnieg...

Młoda dziewczyna w każdym innym wypadku byłaby uciekła, będąc sama na odludziu, ale dziś na przekór innym dniom, przystanęła i zaczęła nadsłuchiwać.

Śnieg prószył wciąż jeszcze, muskając drobnymi płatkami dziewczęce policzki, które od zimna nabrały pięknego w swoim rodzaju powabu...

— Hallo... hallo... — rozległo się nagle za Zofią wołanie, kiedy wolnym krokiem ruszyła do domu... — Czy daleko jeszcze do tej zapadłej dziury...

Zofia przystanęła i odrzekła wyniośle, wywnioskowawszy z zapytania, że nieznajomy po raz pierwszy widocznie tu zdąża.

— Nie wiem — o jaką dziurę panu chodzi, ale do miasteczka jest zaledwie parę kroków.

Nieznajomy przybliżył się już zupełnie brodząc po kostki w skrzypiącym od mrozu śniegu, przez co Zofia mogła zaobserwować jego twarz.

Był to mężczyzna wysoki, szczupły, o poważnym wyrazie twarzy i oczach przenikających do głębi, z których biła niezwykła jakaś stanowczość i samozaparcie...

— A pani co tu robi! — wyrzucił energicznie mężczyzna. — Czy nie obawia się pani, że mogę zrobić jej coś złego...?

Młoda dziewczyna poczuła naraz wielką sympatię do nieznajomego. Mimo energicznego tonu, nie obawiała go się, a przeciwnie, nabrała zaufania. — A kiedy mężczyzna spojrzał na nią bystrym wzrokiem, co miało oznaczać, dlaczego nie odpowiada, serce młodej dziewczyny nagle silniej zabiło.

Coś jej mówiło, że on ją zna i że są sobie nawzajem bardzo bliscy.

— Cszej serce... — zaszemrały płatki śniegu.

— Nie, nie obawiam się pana, bo wiem, że mi pan nic nie zrobi...

— O, ooo, nie bądź pani pewna, gdyż jestem bardzo niebezpieczny! — rzucił znowu śmiało mężczyzna, idąc znowu tak szybko, że Zofia musiała mocno nadrabiać małym kroczkiem, by podążyć razem z nieznajomym, za którym ją poprostu coś zda się przymusem pociągało...

— A do kogo, jeśli można zapytać, pan zdąża? Bo jeśli się nie mylę, pan po raz pierwszy w tych stronach.

— Owszem, zgadła pani, jestem tu po raz pierwszy.

Nieznajomy z uwagą spojrzał na młodą dziewczynę, która dojrzała w jego bystrych oczach zrodzoną dla niej sympatię.

— Jeśli się nie mylę, — ciągnął dalej mężczyzna, — jest pani bardzo ciekawa, — do kogo tutaj spieszę. A więc powiem pani coś niecoś o tym, gdyż muszę wzamian jeszcze poprosić panią o łaskawe wskazanie mi tu jakiegoś hotelu...

Zosia uśmiechnęła się w duchu, gdyż w takim miasteczku trudno dostać jakiś przyzwoity nocleg, a o założeniu hotelu nikt dotąd nie pomyślał, bo i po co, kiedy raz do roku „ktoś" tam chce przenocować.

(Dokończenie nastąpi.)

— Będzie mi bardzo przyjemnie — odpowiedziała Greta.

— Czy mogę pani zaofiarować ramię? — zapytał znów baron.

— Bardzo to uprzejmie z pana strony — rzekła baletnica i ujęła podane sobie ramię barona.

Szli tak dalej, wesoło rozmawiając. Greta była uszczęśliwiona znajomością eleganckiego, przystojnego, młodego i jak się jej zdawało, bogatego chłopca, bo inaczej nie byłby mógł trzymać kamerdynera. Wydawał się jej wprawdzie jeszcze trochę „zielony", czego dowodem było, że się z nią tak publicznie pod rękę pokazywał, co żaden z poprzednich jej kochanków nie byłby uczynił, ale to nic nie szkodziło! Przeciwnie, tem łatwiej da się złapać i wyzyskać — pomyślała i postanowiła użyć wszelkich możliwych środków, aby barona Reitzensteina zwabić w swoje sidła.

Gdy przeszli kilka ulic, rzekł:

— Jakby to pięknie było pójść teraz do Borchardiego na śniadanie! Czy pani bardzo spiesznie z zameldowaniem tego straconego medalionu, pani Greto?

— Wcale nie — odpowiedziała obojętnie — wiem dobrze, że medalionu swego więcej nie zobaczę. Może mi się ta strata kiedy w inny sposób wróci — dodała — ale jakże z zameldowaniem kamerdynera pańskiego, panie baronie?

— O, to także ma czas! — zawołał baron z galanterją — ten gałgan tak czy owak skończy na szubienicy. A otóż jesteśmy przy Borchardim, musimy się przecież trochę pokrzepić, prawda, pani Greto?

Greta nie miała powodu odmawiać i weszła z nim do eleganckiej restauracji. Baron zamówił sobie zaraz u kelnera osobny gabinet i bardzo sute śniadanie, które by za obiad starczyć mogło. Były tam ostrygi, prawdziwe strasburskie pasztety, kuropatwy popłukiwane szampanem i reńskim winem i wreszcie lody.

Greta dawno już nie miała tak przyjemnego dnia. Była rozpromieniona i popisywała się wszystkimi swoimi dowcipami i anegdotami.

Baron Reitzenstein ze swej strony był uosobieniem galanterii, pomógł jej zdjąć żakiet i kapelusz i tak prędko się spoufalił, że przy drugim daniu już czulił się tak bardzo, że zaczął Gretę ściskać i całować. Przytem dolewał jej jej ciągle wina i zapraszał ją do jedzenia, dając jej dobry przykład.

Połykając ostrygi i popijając je winem, myślała Greta:

— Teraz ta czarownica Grammlowa, zjada mi pewno najsmaczniejszą część strudla, ale niech tam! Mnie tu nie jest źle!

Na pocieszenie wzięła znów kawałek pasztetu.

— Kochanie moje! — rzekł baron — jest przyjemnością patrzeć się jak ty jesz. Najbardziej zblazowany człowiek musi przy tobie odzyskać apetyt. Musimy sobie odtąd częściej urządzać takie śniadanka i obiady!

— Owszem — szepnęła Greta.

— Może jutro, kochanie! Czyś może już z kim innym umówiła się — pytał Reitzenstein.

— Jak to się pięknie składa! — zawołała Greta z udaną dziecinną miną — jutro właśnie są moje urodziny! Jak pięknie je tu będę święciła!

Trzeba szanownym czytelnikom wiedzieć, że Greta miała zwyczaj święcenia swych urodzin dwa, a nawet trzy razy w miesiącu, jeżeli wiedziała, że jakąś korzyść z tego mieć może.

— Cudownie! — zawołał baron bardzo ucieszony — nadarza się sposobność okazania ci moich uczuć małą pamiątką. Możebyś mi zdradziła swoje specjalne życzenia, Gretko!

— O, nie powiem — rzekła Greta kokieteryjnie — to by było nieładnie z mej strony!

— Wobec tego będę zgadywał! — rzekł baron, ściskając ją coraz czulej.

— Nie, nie — broniła się Greta — ja nie należę do tych, które wyłudzają prezenty od panów!

— Nigdy cię o to nie posądzałem! — usprawiedliwiał się Reitzenstein. — Ale powiedz mi sama. Co jednak myślisz o winie! Czy zostaniemy przy reńskim, czy wrócimy do szampana?

— Ja wolę szampana! — przyznała się Greta — ale i reńskie wino chętnie piję. Zastosuję się w tem do pana!

— Nie, panie mają pierwszeństwo! — zawołał baron. — Kelner, świeżą flaszkę szampana!

Usłużny kelner przyniósł żądaną flaszkę, korek wystrzelił aż do sufitu, a baron nalawszy oba puchary musującym winem, zawołał:

— Na naszą przyjaźń, mój skarbie!

— Na wierną przyjaźń, panie baronie! — poprawiła baletnica z zalotnym spojrzeniem.

— Jak chcesz kochanie! — rzekł Reitzenstein już trochę podchmielony — czy mam zamówić lody?

— Oczywiście — odpowiedziała łakoma Greta — po wszystkich tych pikantnych potrawach, lody będą bardzo smakowały!

Przyniesiono lody czekoladowe, a baletnica pochłaniała je tak raptownie, jakby od miesiąca nic nie jadła.

Baron zaś nie skosztował nic słodkiego, ale zato pił tyle szampana, że zapomniał zupełnie o urodzinach Grety i o prezencie, której chciał ofiarować.

Zaniepokojona Greta sprowadziła rozmowę znów na ten temat.

— Panie baronie — zaczęła czule — czy uważałby mnie pan za bardzo nieskromną, gdybym się panu naprawdę zwierzyła ze swoim małym życzeniem?

— Ależ Gretko! — zawołał baron. — Mów śmiało! Tak, to mi się podoba!

Rozczulona tem Greta, zarzuciła mu obie ręce na szyję i głaskając go, szepnęła mu zawstydzona do ucha:

— Chciałabym mieć taki sam medalion, jaki zgubiłam!

— O, ja osioł! — zawołał Reitzenstein — że mi też to samemu na myśl nie przyszło! Naturalnie, że dostaniesz medalion, kochanie! — Ile brylantów było na górze?

— Sześć! — skłamała Greta, puszczając barona z objęć — jeden duży i ślicznie szlifowany, a pięć mniejszych wokoło!

— Dostaniesz ode mnie zupełnie taki sam! — zapewniał ją baron. — Ale wiesz-



Europejskie zwyczaje wtargnęły już częściowo do Chin. Na zdjęciu szereg par wracających od ślubu, przy czym uderza fakt, że kobiety są ubrane po europejsku, a mężczyźni zachowali jeszcze tradycyjny strój narodowy.



Urocza tancerka Daisy Spies w scenie z operetki „Skład czarów“.

co, Gretko? Czuję się niedobrze, muszę wyjść na chwilę na świeże powietrze. Za kilka minut będę z powrotem!

To mówiąc opuścił pokój nim mu jeszcze Greta mogła odpowiedzieć. Nie dziwiła się wcale, że się baronowi niedobrze zrobiło po tej masie jadła i napoju, którą skonsumował. Popijając szampana, zamyśliła się.

Był to szczęśliwy dzień dla niej! Pominąwszy już sute śniadanie, które jej wielką przyjemność sprawiło; ale najgłówniejsze to, że złapała bogatego i hojnego kochanka! Co to za życie teraz dla niej będzie! Jutro znów suty obiad i do tego brylantowy medalion!

Wszystko to zawdzięczała swemu mądremu pomysłowi z ogłoszeniem. Zachwycała się swoją mądrością i z pogardą pomyślała o swoich koleżankach, które popękają z zazdrości, skoro się o tym sukcesie dowiedzą!

Myśląc tak, czuła się coraz bardziej zmęczoną. Powieki jej opadały, wreszcie usnęła smacznie.

Nie wiedziała sama, jak długo spała, gdy ją głośne wejście kelnera zbudziło.

— Czy pani jeszcze czego żąda? — spytał on nie bardzo uprzejmie.

— Dziękuję — odpowiedziała baletnica jeszcze zaspana trochę — gdzie jest pan baron?

— Jeśli pani mówi o tym panu, który z panią tu przyszedł, to ten już dawno odszedł!

— Odszedł? — krzyknęła Greta, już zupełnie obudzona. — Na Boga, proszę ze mną nie żartować!

— Nawet mi się nie śni żartować! — mruknął kelner szorstko. — Ten pan już może przed godziną stąd wyszedł. Włożył w przedpokoju palto i powiedział mi, że ma pilny interes, ale że pani wszystko zapłaci. Proszę więc zatem wyrównać rachunek. Śniadanie 40 reńskich, 8 reńskich nakrycie, a 24 reńskich wino.

— A, ten łotr, ten oszust, ten opryszek! — lamentowała Greta w najwyższej rozpaczy. — Zwabił mnie tu, najadł i napił się, a potem uciekł i kazał mi zapłacić. Udawał wielkiego pana. Kazał się jeszcze nazywać baronem! Ładny mi baron! O, ja nieszczęśliwa, żem się tak dała nabrać. Miałabym zapłacić za to śniadanie, połowę mojej całomiesięcznej pensji? Nie, ja tego nie mogę zrobić, a pan powinien to uznać i nie wyzyskiwać przykrego położenia biednej dziewczyny, która ciężko na kawałek chleba zarabiać musi!

Mówiąc to, płakała tak rzewnie, że wzruszyła kelnera.

— Bardzo mi przykro — rzekł wzruszając ramionami — ale nie mogę nic poradzić, rachunek muszę mieć zapłacony! — Niech pani zamelduje na policji i dokładnie tego ptaszka opisze. Może pani wydostanie swoje pieniądze, ale teraz musi pani wyrównać rachunek!

Widząc, że skargi i narzekania jej nie pomagają, wsunęła Greta z westchnieniem rękę do kieszeni, aby wyjąć portmonetkę; ale wtem krzyknęła przeraźliwie: pugilares jej z 45-cioma guldenami, które jako resztę z 50-tki w sklepie dostała, znikł z kieszeni bez śladu.

— Boże miłosierny, co za fatalny dzień! — szlochała — Portmonetkę swoją zgubiłam!

— To niech mi pani tu jakiś fant zostawi! — rzekł kelner z niedowierzaniem. — Musi pani przecież mieć coś wartościowego przy sobie.

— Weź pan broszkę — zaproponowała Greta.

— Nie warta nawet 5 reńskich — rzekł kelner pogardliwie — musi pani mi dać coś więcej wartościowego.

Z ciężkim sercem zdecydowała się więc Greta dać swój zegarek, ale gdy sięgnęła ręką, aby go wyciągnąć, krzyknęła znów przeraźliwie — i zegarka nie było! Znikł jedyny kosztowny jej klejnot, zgrabny, brylantami wysadzony zegarek z ciężkim, złotym łańcuszkiem i licznymi, misternie wykończonymi breloczkami, dar nieboszczyka księcia Iffalwiego.

Była teraz przekonana, że ten tak zwany baron Reitzenstein, skradł jej portmanetkę i zegarek. Myślała, że złapała tłusty kęs, a tymczasem wpadła w pułapkę. Miała zamiar wyzyskać barona, a została przez niego haniebnie oszukana i okradziona.

Nie umiała ona jednak zrozumieć tej zasłużonej kary, która ją spotkała. Nie zastanowiła się nad tym, że sama była winna swemu dzisiejszemu niepowodzeniu. Gdyby bowiem nie była chciała rozłościć swych koleżanek i w tym celu nie była poszła do sklepu, aby sobie kazać napisać ogłoszenie o zgubionym medalionie, nie miałby ten łotrzyk nawet sposobności do poznania jej i do wypłatania jej tak okropnego figla.

Greta tak strasznie płakała i zawodziła, że kelner zawołał na pomoc swego pryncypała.

Ten zobaczywszy, że na razie nic od niej nie wydostanie, wypuścił ją, ale postanowił poczynić kroki do wydostania swego długu.

Rozpływając się we łzach wróciła Greta do domu i zastała Grammlową właśnie przy spożywaniu strudla. Biedna stara dość teraz miała do zniesienia, bo Greta nie mogąc się uspokoić lamentowała i krzyczała do późnej nocy.

Cała złość jej skupiła się naturalnie na biednej kobiecie, której los nie był do pozazdroszczenia.

ROZDZIAŁ CCXXXVIII

Niespodziewane odkrycie

Gdy się podróżni nasi z lasów dziewiczych wybrali o brzasku dnia w dalszą drogę, byli jeszcze pod wrażeniem nocnego zdarzenia, którego nawet jasne światło dzienne zupełnie rozproszyć nie mogło.

Stary Hiller szukał wprawdzie jak dotychczas roślin i owadów, ale marszczył ponuro czoło i od czasu do czasu zwracał się do Leona z zapytaniem:

— Czy jest pan zupełnie pewny, że to nie była halucynacja, panie Jim?

Ale Leon zapewniał go solennie, że widział tę postać najwyraźniej przed sobą, a wtedy stary bardziej jeszcze brwi ściągał.

Leon również był zamyślony i wcale nie zauważył, że Franciszek, który przed nim konno jechał, ciągle się za nim oglądał.

Tylko Bill rozmawiał żywo z Tomem i jadąc na jego koniu opowiadał mu, o coraz niemożliwszych przygodach, któ-



„Brzdąc“ ożenił się. Któż nie pamięta słynnego swego czasu Jackie Coogana, który jako mały chłopiec wzruszał do łez swą grą na ekranie. Obecnie Coogan, zarobiwszy sporo grosza, ożenił się z pewną tancerką w Hollywood.

re rzekomo sam przeżył. Łatwowierny Tom przysłuchiwał się z otwartą gębą i coraz większym podziwem.

— Panie Jim! — zawołał wreszcie Franciszek, zatrzymując konia i czekając na Leona. — Czy nie widzi pan nic na tamtym drzewie piniowym, na lewo, może o 20 kroków od nas?

— Kora oddarta — odpowiedział Leon.

— Zdaje mi się, że ktoś się za pniem tego drzewa ukrywał — zawołał młody chłopiec — wysoka, brązowa postać, podobna do tej, którą pan w nocy widział i nam opisał.

— Trzeba zobaczyć — rzekł Leon i pobiegł szybko we wskazanym kierunku.

Nie zobaczył tam jednak nic, prócz olbrzymiego drzewa, jakie się tu często napotykało, a Franciszek, który szedł za nim bardzo był rozczarowany.

— Dałbym wiele za to, aby się dowiedzieć, co to było za zjawisko — zawołał młodzieniec żywo — bo wiem, że to niemożliwe, aby pan się omylił.

— Ja sam chętnie bym tę zagadkę rozwiązał — odpowiedział Leon — ale mimo to proponuję, abyśmy na razie zostawili temat upiorów i przeszli do innego. Niech mi pan coś ze swego życia opowie; może o swoich studiach? Czy pan już skończył gimnazjum — odparł Franciszek, rumieniąc się. — Uczyłem się zawsze prywatnie.

— Pan już kiedyś towarzyszył ojcu w podróży? — spytał znów Leon.

— Tak, już kilka razy — była lakoniczna odpowiedź.

— Musiało to przerywać studia pańskie — zauważył znów Leon, nie zwracając uwagi na to, że temat ten był dla młodego chłopaka widocznie nieprzyjemny.

— Za to uczę się nie jednego, czego w żadnych szkołach dowiedzieć się nie można — odpowiedział Franciszek poważnie.

— Słusznie! — potwierdził Leon — czy się pan już zdecydował co do swego przyszłego zawodu, panie Franciszku?

— Nie, nie wybrałem jeszcze nic stanowczego — odparł Franciszek wymijająco.

— Myślałem, że przykład ojca zachęci pana do badania przyrody — rzekł Leon — chociaż prawdę powiedziawszy, nie zauważyłem u pana nadzwyczajnego zainteresowania botaniką, zoologią lub mineralogią.

— Bo mnie też to wcale, a wcale nie zajmuje! — zawołał Franciszek z żywością, która prawie graniczyła z szorstkością. — Ależ panie Jim, to formalne śledztwo sądowe! Coby pan powiedział, gdybym ja tak pana zaczął wypytywać?

— O, przepraszam pana — usprawiedliwiał się Leon — stało to się zupełnie mimowoli. Nie miałem najmniejszego zamiaru irytowania pana, lub sprawienia mu nieprzyjemności. Za to jestem gotów odpowiedzieć z swej strony na wszystkie możliwe pytania pańskie co do mojej osoby!

I skorzystam z tego pozwolenia! — zawołał chłopak rozbrojony. — Ile pytań mi wolno zadać, panie Jim?

— Ile pan chce — odpowiedział Leon — ale liczę przytem na pański takt.

— A więc — zapytał Franciszek — po co pan przybył do Ameryki?

— Aby się dorobić majątku! — odpowiedział Leon krótko i węzłowato, ale z widoczną niechęcią.

— Czy pan zostawił rodzinę w Europie? — badał chłopak dalej.

— Tak! — westchnął Leon.

Świeża, piękna twarz Franciszka miała w tej chwili dziwnie melancholijny wyraz. Westchnął on również i popatrzył ze współczuciem na Leona, który bardzo się zasępił.

Przez chwilę milczeli obydwaj; Franciszek pierwszy nawiązał znów rozmowę.

— Panie Jim — zawołał on błagalnie — pozwól pan tylko jeszcze jedno, jedyne pytanie: Czy pan kiedy w życiu kochał?

To mówiąc, patrzył na towarzysza dziwnym, pół nieśmiałym, pół nalegającym wzrokiem, a młoda twarz jego okryła się żywym rumieńcem.

Leon spojrzał na niego niemile dotknięty i nieprzyjemnie zdziwiony.

— Ależ panie Franciszku! — zganił on swego towarzysza — pytasz pan jak młode dziewczątko. Co pana mogą obchodzić dzieje mego serca?

— Niech się pan na mnie gniewa — prosił chłopak pokornie — ale niech mi pan odpowie na to pytanie!

— Obiecałem panu, więc muszę się z obietnicy wywiązać! — rzekł Leon z rezerwą. — Zdawało mi się nieraz, że kochałem, ale właściwie kochałem tylko raz jeden jedyny prawdziwie.

Zeznaniu temu towarzyszyło tak głębokie westchnienie i taka melancholia w oczach, że się Franciszkowi aż żal zrobiło. Nie zadawał już więcej żadnych pytań i jechał milcząc naprzód.

Leon także zamilkł i został trochę w tyle, aby się bez przeszkód oddać swemu smutnemu wspomnieniu.

Około południa zatrzymali się podróżni na krótki spoczynek i posiłek.

Przy rozpakowaniu prowiantu spostrzegł Bill wraz z Tomem, że brakował im skórzany worek z zapasami żywności.

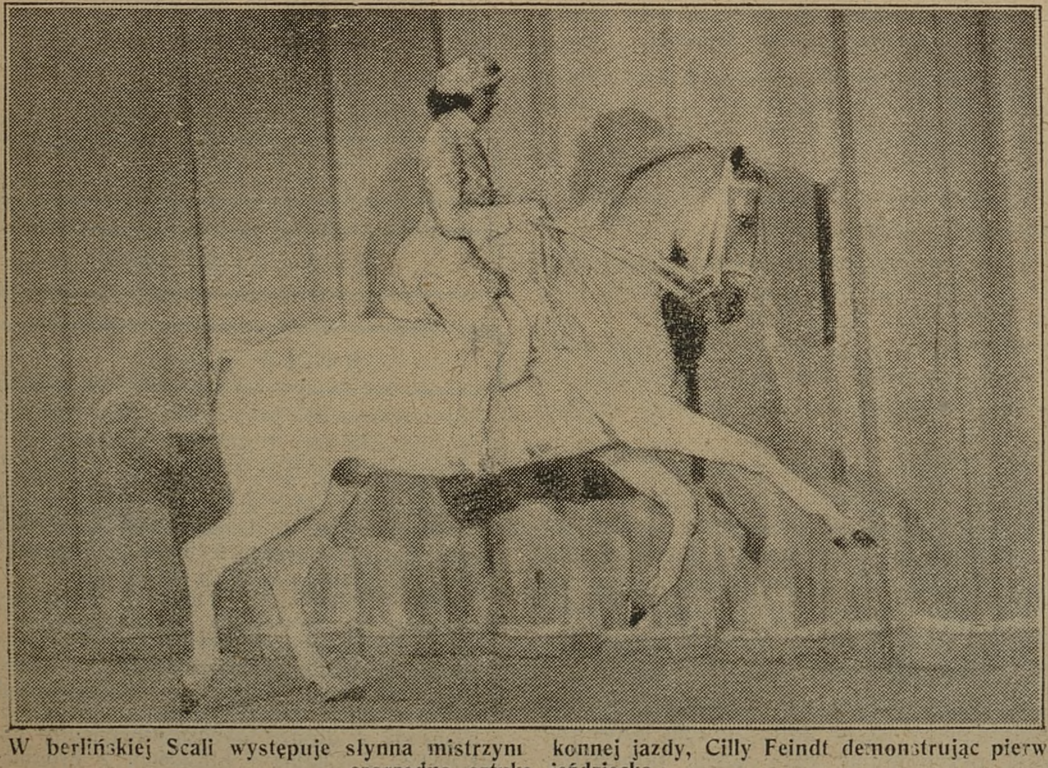
Stary Hiller bardzo się tym zirytował i posądzał swego służącego, że z nieuwagi zostawił worek w miejscu, w którym przez noc obozowali. Tom i Wudajo przysięgali, że wszystko starannie zapakowali, a Bill potwierdził ich zapewnienia, mówiąc, że sam dokładnie obejrzał miejsce, czy coś nie zostało i nic na nim nie spostrzegł.

Hiller nie bardzo w to wierzył, ale nie rozstrząsał tej sprawy więcej. Dał tylko Franciszkowi zlecenie, aby się odtąd zajął doglądaniem pakowania i rozpakowania.

Milcząc, postępowali dalej. Franciszek oglądał się często za Leonem, ale on tego nawet nie zauważył. Dało to młodemu chłopcu do myślenia.

Może pytaniem tym dotknąłem jakiejś smutnej struny jego serca — zasmucił się młodzieniaszek westchnąwszy głęboko.

Zaczęło się zmierzchać i nasi podróżni znów rozbili namiot. Służący sporządzali jak zwykle wspólną wieczerzę i zbliża-



W berlińskiej Scali występuje słynna mistrzyni konnej jazdy, Cilly Feindt demonstrując pierwszorzędną sztukę jeździecką.



Nowomianowany wicekról Etiopii, książe d'Aosta żegna się czule ze swą żoną. Po lewej matka wicekróla i następca tronu włoskiego Umberto.

ła się chwila, w której jeden z towarzystwa miał objąć straż nocną.

Nieokreślony strach przed tą nocą ogarnął wszystkich obecnych. Zjawiska dwóch ubiegłych nocy tak były przerażające, że każdy z nich obawiał się ich powtórzenia.

Pierwszy Leon opanował swą bojaźń, po czym nazwawszy się tchórzem i głupcem, ofiarował się znów do objęcia straży.

Wszyscy się na to zgodzili, tylko Franciszek zawołał trwożnie:

— Przecież pan sam nie będzie czuwał, panie Jim! Niech Tom, albo Bill z panem zostanie, na wypadek, gdyby się upiór znów pokazał.

— Spodziewam się, że nie pan nie posądza o strach — odparł Leon. — Nie, ja sam będę czuwał i tym razem już wystrzelę, gdyby się upiór znów pojawił!

Franciszek nic więcej nie odpowiedział i popatrzywszy na Leona smutnym wzrokiem, położył się obok ojca.

Wkrótce wszyscy usnęli. Wtem Leon usłyszał lekkie kroki i odwróciwszy się zobaczył, że to Franciszek.

Chłopak spojrzał na Leona błagalnym wzrokiem i rzekł nieśmiało:

— Nie mogłem usnąć, panie Jim, bo wiem, że się pan na mnie gniewa. Proszę mi wybaczyć moje niedyskretne pytanie, ja już nigdy więcej tego nie uczynię!

— Ja się na pana wcale nie mam powodu gniewać! — zapewniał go Leon ze szczerością w głosie. — Wzbudził pan swym pytaniem tylko przykre wspomnienia i oddaliłem się, aby im się móc oddać.

— Okropnie mi przykro było — rzekł Franciszek z ubolewaniem. — A teraz niech mi pan poda rękę do zgody!

To rzekłszy, wyciągnął ku niemu serdecznie małą i delikatną swą rękę, którą Leon równie szczerze ujął i uścisnął.

— A będzie pan teraz znów ze mną rozmawiał? — prosił Franciszek — mnie to tak bolało, że mnie pan w ostatnim czasie unikał.

— Jesteś pan dobrym chłopcem — rzekł Leon wzruszony, klepiąc go po ramieniu. — Będziemy odtąd znów dobrymi przyjaciółmi.

Uradowany Franciszek popatrzył na niego z wdzięcznością, ale w następnej chwili krzyknął przeraźliwie.

— Patrz pan, tam! — szepnął bezdźwięcznym głosem.

Leon spojrzał we wskazanym kierunku i poznał z przerażeniem zjawisko, które mu się już zeszłej nocy pokazało.

Może o 10 kroków przed nimi stała w świetle księżyca ciemna postać nadludzkiej wielkości z iskrzącymi jak węgiel oczyma, i zdawała się rość w oczach coraz wyżej i wyżej.

Przez chwilę Leon był jakby obezwładniony, opanowawszy się jednak szybko, chwycił za pistolet i chciał wystrzelić. Lecz w tej chwili padł mu Franciszek z okropnym okrzykiem w ramiona, a Leon uczuł z nieopisanem zdziwieniem tulącą się do niego miękką pierś kobiecą.

Bezradny trzymał drżącą postać przez chwilę w swoich ramionach, a gdy spojrzał w górę, zjawiska już nie było!

— — — — — — — —

Księżyc świecił jasno i pogodnie, a zjawisko znikło bez śladu.

Leon trzymał jeszcze zawsze w objęciach zdrętwiałe ciało omdlałej dziewczyny, którą dotychczas uważał za chłopca i namyślał się, co z nią począć. Nie mógł myśleć o pogoni za dziwnym zjawiskiem, bo przede wszystkim musiał ratować omdlałą.

Po pewnym namyśle postanowił nie budzić starego Hillera, bo przypuszczał, że nie byłoby mu to przyjemne, gdyby się dowiedział, że Leon odkrył tajemnicę płci jego dziecka. Z drugiej znów strony nie śmiał sam zluźnić ubioru nieprzytomnej. Położył tylko ciało na ziemię i skropił wodą jej skronie i usta.

Wreszcie dziewczyna otworzyła oczy, i oglądnąwszy się w koło, zaczęła sobie powoli przypominać całą scenę poprzedzającą jej omdlenie, po czym wydała cichy okrzyk i zakryła sobie twarz rękoma.

— Mój Boże! Cóż ja uczyniłam — lamentowała — zdradziłam się i co pan teraz o mnie pomyśli?... (C. d. n.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf
pod Hel

1.				
2.				
3.				
4.				
5.				
6.				
7.				
8.				
9.				
10.				
11.				
12.				

Drugi rząd pionowy od lewej strony czytany z góry na dół da imię i nazwisko słynnego polskiego powieściopisarza.

Znaczenie wyrazów:

1) instrument muzyczny
2) rolnik ją uprawia
3) masa służąca do spajania
4) znany z okrucieństwa cesarz rzymski
5) część twarzy
6) każdemu zdarzyć się może
7) skrót większego oddziału wojska
8) gruboziarnisty piasek
9) pijak
10) tylko władca na nim siedzi
11) codzienna potrawa
12) rolnik go nie lubi.

Bilety wizytowe
pod. Jan Feliks Płóciennik.

ELA DOMK

ELA T. RITKA

RENA TACK

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dnia 5 stycznia 1938 r.

Rozwiązanie zadań z nr. 51 „Moich Powieści": Łamigłówka: 1. Abdon 2. Warna 3. Wrona 4. Łucja 5. Brema 6. Pilot 7. Radom 8. Wilno 9. Roman. Całość: Barcelona.

Bilety wizytowe: 1. Kraków 2. Koszyce 3. Konstancja 4. Grenlandia 5. Hercegowina.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Sielańska Jadwiga — Chojno. Górski Piotr — Zgniłobłoty, Dąbrowski Wiktor — Toruń, Lipski Michał Brodnica, Hodzierski Jan — Grudziądz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Sielańskiej z Chojna i Lipskiemu z Brodnicy.

ADAM NASIELSKI

3)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

— Może — zaczerpnął tchu — może przez pani protekcję dostałbym jakąś posadę w przedsiębiorstwach pani ojca. To się świetnie składa — bo jestem właśnie specjalistą transportowym. Przedtem pracowałem u armatorów Jenkins et Jenkins w New Yorku jako kapitan okrętu handlowego. I byłbym pracował do dziś, gdyby Rosemary nie utonęła.

— Kto to jest Rosemary? — Pana żona.

— Broń Boże! — roześmiał się na samo wyobrażenie tego ślubu. — „Rosemary Winthrop", okręt handlowy, a raczej kadź, która zginęła na uwiąd starczy i pękła w kilu.

— W czem? — Miss Murray jako dziennikarka była zachłannie ciekawa, a Jaz wściekał się, że temat schodzi na obojętne tory. Mimo to wyjaśnił:

— Kil, jakby to pani określić — coś w rodzaju kręgosłupa okrętu. Od linii kilu zależy wszystko, ale tak na poczekaniu pani nie zrozumie, trzeba po to być fachowcem. Wróćmy jednak do mojej sprawy, miss Murray. Czy mogłaby pani zainterweniować u ojca o jakieś zajęcie dla mnie. Zrobię wszystko, aby żyć narazie. Mogę nawet dźwigać ciężary...

— Taki pan silny.

— Bardzo, lecz my znów zbaczamy... Gdyby jeszcze ojciec pani dał mi zaliczkę, abym uregulował ten przeklęty rachunek za dobę u Stevensa — nicby mi nie brakowało do szczęścia. Oczywiście nie spotykalibyśmy się już wtedy. Różnica stanowiska — córka Murraya i urzędniczyna Murraya. Nawet amerykańska demokracja to na ogół amerykański bluff.

— Czy pan mówi to wszystko poważnie?

— Tak, ja często mówię poważnie i dlatego nierzadko wydaję się śmieszny i nieprawdopodobny. Sama pani wie, że jej nie szukałem w tym celu. Przeciwnie, od pierwszej chwili nie ukrywałem niewesołej prawdy. Skoro już jednak się znamy...

Dyskretne pukanie przerwało po raz wtóry. Portiera uchyliła się i ukazał się „boy od gazet". Podszedł bez wahania do Jazona.

— Czy pan kapitan Jazon Kent?

— Yes. To ja.

— Dla pana.

Z temi słowy boy wręczył mu małą kopertę i odszedł natychmiast, jakby takie właśnie miał instrukcje.

— Pani pozwoli — przeprosił Jaz towarzyszkę i w oszołomieniu zapomniał nawet o protekcji u starego Murraya. Kto mógł znać kapitana Kenta w Chicago. Dziwne. Wyjął z koperty małą wizytówkę. Po jednej stronie był nadruk: Montague Sedgwick. Na odwrocie lakoniczna treść: „Muszę z Panem porozmawiać natychmiast. Nie mówić miss Murray o niczem. Czekam w loży nr. 6".

Odetchnął. Dzięki Bogu — bez cudu. Pisał jedyny człowiek, który go znał. Ale poco pisał... Jazon automatycznie schował bilecik i kopertę do kieszeni. „Nie mówić miss Murray o niczem" — przypomniał sobie instrukcję i — zbuntował się. Instrukcję? Jemu? Od tego gościa, który „ostatnio trochę niedomaga z wątr..." — Uśmiechnął się na wspomnienie sceny w gabinecie u La Salle'a. Jednocześnie spojrzał ukradkiem na przeciwko i stwierdził, że w loży nie było już nikogo.

— Od kobiety, kapitanie? Zaczynamy mieć powodzenie.

— Nie od damy, my word. Muszę jednak przeprosić panią na jakiś kwadrans. Przyrzekam solennie, że wrócę punktualnie.

— Co się stało?

— Zaszło coś niespodziewanego. To od mego służącego, Cliffa — skłamał Jaz gładko. Nie zauważył odcienia troski w oczach Thelmy, a jeżeli by go nawet widział, pomyślałby, że jest udany. Cóż ją mogły obchodzić jego zmartwienia. Z tą myślą wstał, jeszcze raz przeprosił serdecznie (przecież pretensja jeszcze niezałatwiona, no i wcale miła dziewczyna...) i zniknął za kotarą. Gdzie tu jest loża nr. 6...

ROZDZIAŁ V.

SPRYTNY JAZ

Polecenie niewyjawienia niczego miss Murray, kazało wnioskować, że loża nr. 6 nie jest tą, w której Jaz widział dyrektora poprzednio. Przypuszczał słusznie, że loża ta nie jest widoczna z sali dancingu. I istotnie znalazł ją na pierwszym piętrze. Odprawił boy'a, stanął na początku wąskiego korytarza i zastanowił się. Pod wpływem wypitych trzech sporych kielichów zdradliwego vermouthu, szumiało mu wcale głośno w uszach. Ostatnimi czasy jadał skromnie, organizm był nieco osłabiony przeżyciami, do jakich jego właściciel nie był za młodu przyzwyczajony. Na wino nie mógł sobie naturalnie pozwolić, to też prawie półlitrowa dawka zdziałała swoje. Jaz czuł dziwny bezwład w stawach i chciało mu się spać. Otrząsnął się jednak i odbył błyskawiczną retrospekcję wydarzeń — uważał to za konieczne. Więc: dziś w południe on, kapitan Jazon Kent, przyjechał z New Yorku do Chicago, w wyniku korespondencji, przeprowadzonej z towarzystwem bankowym La Salle'a, jakiemu przed miesiącem jeszcze przesłał listowną ofertę na posadę. Ofertę złożył z powołaniem się na ogłoszenie w New York Herald. Miał jeszcze wycinek w kopercie, wraz z innymi listami. Po przyjeździe dowiedział się od mr. Sedgwicka, dyrektora personalnego, że posada jest już nieaktualna i bardzo nam przykro, jak to się mówi. Te wszystkie szczegóły przemknęły teraz jak cofnięta taśma na ekranie świadomości Jaza — lecz żaden z nich nie wyjaśniał związku z obecnie otrzymanym biletem od dyrektora. Dlaczego mr. Montague Sedgwick nakazał milczeć przed miss Murray — może dlatego, że była dziennikarką. Niepojęte!

Chyba nie chcieli mu jednak zaproponować objęcie tej nędznej posady — ze skruchy. Więc cóż innego? Zobaczymy!

Przebył wąski korytarz, wyłożony makatą i bez trudu odnalazł drzwi oznaczone numerem 6. Zapukał i wszedł po usłyszeniu wezwania znajomego głosu. Natychmiast dojrzał postać mr. Sedgwicka. Pan dyrektor wyglądał jak człowiek mocno zdenerwowany. Jazowi zdawało się, że na widok wchodzącego odetchnął z pewną ulgą. Oczywiście to wrażenie mogło być złudzeniem.

— Good evening, mr. Sedgwick — przywitał się swobodnie, jak przystało na człowieka dobrze wychowanego. Ponieważ jednak nie chciał tracić czasu ze względu na obietnicę, daną miss Murray, na której dotrzymaniu zależało mu ze zrozumiałych powodów — Jaz sięgnął bez ceremonii do kieszeni i wydobył wizytówkę i kopertę.

— Co to ma oznaczać!?

— Pan nie rozumie. — Dyrektor zapomniał odpowiedzieć na przywitanie. Wskazywałoby to na słuszność wniosku o zdenerwowaniu. — Pan jest szybko decydującym się człowiekiem, kapitanie Kent.

Czemu on tak znacząco akcentuje tytuł i nazwisko, Jaza. Czyżby już tam, w hotelu, coś zaszło i Sedgwick wie już o tej hecy. Cóż innego mógłby oznaczać słowa o szybkiej decyzji. I co to wreszcie obchodzi mr. Sedgwicka?

— Szybkość mojej decyzji jest moją osobistą sprawą i najwyżej interesować może Departament Kryminalny, dyrektorze Sedgwick.

Jaz nie wiedział o co chodzi dc ... nie, ale umyślnie naśladował bankiera i zaakcentował ... nazwisko i tytuł.

Mr. Sedgwick zbladł nienaturalnie, co Jaz zauważył już zupełnie wyraźnie — i nie rozumiał nic.

— Mieszka pan jeszcze u Stevensa, kapitanie?

No, teraz nie ulega wątpliwości, że awantura się wydała. Widocznie nerwy Cliffa nie wytrzymały. Trudno! Ale pozwolić dlatego kpić z siebie temu obcemu człowiekowi. Chyba, że zdecydował się dać posadę. Może zaimponowała mu brawura. Wątpliwe — wredną gębę ma swoją drogą ten mr. Sedgwick. Jakaś dziwnie niewyraźna. Ki diabeł...

— Tak, mieszkam u Stevensa. Czy pan ma coś przeciwko temu.

— Może... — zawahał się bankier. — Może mam coś przeciwko temu. I prosił mnie pan o posadę, kapitanie.

Dziwny zwyczaj akcentowania dwóch słów w zdaniu. Mania? Co mi zresztą za różnica. Jaz usiadł na poręczy fotela, dotychczas stali obaj. Szum w głowie kapitana wprawdzie zmniejszył się nieco, lecz nie ostał zupełnie. Jednocześnie ogarnęła go niezrozumiała złość na tego stojącego na przeciw, eleganckiego pana. Jakiem prawem wtrącał się w nieswoje sprawy. Jaz miał ochotę wyrżnąć go pięścią w zęby, tak, po marynarsku. Dlaczego on się tak zagadkowo śmieje. Może — wariat?

Czego się tu zresztą obawiać. Dzięki protekcji miss Thelmy będę może mógł pracować jako kapitan w Truście Transportowym, zamiast ślęczeć nad biurkiem w banku przy sztucznym świetle. Nie warto się więc płaszczyć i udawać.

— Czy włamanie do pańskiej kasy tak pana zdenerwowało, dyrektorze Sedgwick, że pozwala pan sobie na wtrącanie się do nieswoich rzeczy?

Ujrzał naraz jak mr. Sedgwick sięgnął do kieszeni, zupełnie takim ruchem, jakby chciał wyjąć rewolwer. Jazowi musiało się jednak przywidzieć, bo bankier uspokoił się nagle i wskazując krzesło, rzekł uprzejmie.

— Proszę usiąść, kapitanie. Porozmawiamy rzeczowo.

Głupia rzecz, to wino. Oszołomiło ono Jaza porządnie po tak długim okresie całkowitej abstynencji, alkoholowej, spowodowanej najradykalniejszym ze środków — brakiem pieniędzy. A przecież niewiele jeszcze miesięcy upłynęło od słynnej libacji kapitana Kenta w Conception, gdzie wydał sześć butelek, potem wspiął się na bocianie gniazdo, aby łowić wieloryby! Gdzie się podziały te dobre czasy? I czy wrócą... Przełożył nogi przez poręcz i usiadł normalnie w fotelu — zaś dyrektor naprzeciw niego, na krześle. O czem ten facet chce z nim gadać? Ani chybił — jeden z nich jest pijany, albo obydwaj.

— Możemy pogadać — zgodził się Jaz. — Ale o czym?

— Pan wie o tym dobrze, kapitanie Kent.

— Nie wiem, dyrektorze Sedgwick.

— Ostrożny z pana chłop, kapitanie.

— Czy ma mi pan to za złe? (Dlaczego ostrożny? Nic nie rozumiał!)

— Przeciwnie, ostrożność podoba mi się.

— Pan też jakoś nie jest wyraźny, mr. Sedgwick. Wcale, jeżeli mam przyznać.

— Lecz w ten sposób nie dojdziemy do porozumienia, kapitanie.

— Niby w czym?

— W sprawie, dla której pan przyjechał do Chicago.

Aha! Więc jednak posada. Dobra... Masz szczęście, Jazonku! Facet wstawił się nieco i żal mu, jak wszystkim pijakom. Nie szkodzi — będzie rezerwa na wypadek odmówienia u Murraya.

— Zatem sprawa jest jednak, aktualna. Bardzo panu jestem zobowiązany, panie dyrektorze.

— Byłem zdecydowany od początku, kapitanie.

Więc co? Na koniec. Wstawiony czy przytomny. Znów nic nie rozumiem. Oznajmił po południu, że posada nieaktualna i był „zdecydowany od początku". Kołowacizna — nic więcej. Jazon postanowił czekać i milczeć, aż dyrektor odezwał się pierwszy.

— Te rzeczy wymagają czasu, a pan — jak widzę — jest w gorącej wodzie kąpany. Już konferencja z miss Murray. Pan działa za prędko, kapitanie.

— Cóż, mr. Sedgwick — muszę, w moim położeniu.

Sięgnął po papierosa i uprzejmie poczęstował swego rozmówcę. Bądź co bądź to figura, która może się przydać. Ku jego wielkiemu zdumieniu, bankier uśmiechnął się jakoś złośliwie i podziękował odmownie.

— Nawiązał pan już kontakt z Murray'em?

Jaz zdębiał. Czyżby ten człowiek podsłuchał jego rozmowę z Thelmą! Po co? Wie o wszystkim. Niewiadomo czy to pod wpływem wypitego vermouthu czy pod wrażeniem niezrozumiałej sytuacji — kapitan nie zastanawiał się i wyznał szczerze.

— Jestem na drodze. A jeżeli mi się uda, obejdę się bez pomocy banku La Salle'a. Wolę podróżować niż siedzieć — to mi bardziej odpowiada, oczywiście. Tym niemniej nie zapomnę o panu.

— Podróżowanie pociąga za sobą zawsze... hm... niejakie niebezpieczeństwo.

Na stoliku obok stał syfon wody i butelka ze szkocką etykietą. Nie pytając Jaz nalał sobie pół na pół sodę i whisky i wypił duszkiem. To go nieco otrzeźwiło i przywróciło mu pełnię panowania nad sobą. W sprawie nie wszystko musiało być takie proste. Niebezpieczeństwo? I nikt przecież jednak nie podsłuchiwał, bo w czasie rozmowy Sedgwick siedział w loży naprzeciwko. Pamiętam wyraźnie. I po co by miał podsłuchiwać. I... i... Niech to wszystko diabli wezmą.

— Ja jestem przyzwyczajony do niebezpieczeństw, panie dyrektorze.

— Nieszczęścia chodzą po ludziach, kapitanie.

— Czy pan nie jest przypadkiem wstawiony, mr. Sedgwick. Ja nie obawiam się żadnego niebezpieczeństwa. Chyba ze strony Departamentu Kryminalnego — ale to głupstwo, jeżeli mi się uda załatwić sprawę z Murray'em. A gdyby nawet nie — to najwyżej sześć miesięcy, albo równowartość w dolarach.

— Ile?

— Bo ja wiem. To już od nich będzie zależało. Ale co to pana właściwie obchodzi. Albo — albo!

Po tych słowach Jaz spojrzał na zegarek. Zbliżał się termin upływu kwadransa, a on nie chciał się spóźnić.

— Po co pan właściwie przysłał mi ten bilecik, mr. Sedgwick. Przyznaję, że znów nic nie rozumiem.

Widział i nie pojmował dlaczego dyrektor banku zagryzł wyraźnie górną wargę i milczał. Wobec tego Jaz wstał.

— Muszę już iść, mr. Sedgwick. Przyrzekłem wrócić po kwadransie, a ponieważ tu nie widzę nic, nie mogę tracić drugiej okazji. Trzeba przecież żyć, ostatecznie. Dowidzenia i, radzę panu wytrzeźwieć — zakończył z uśmiechem optymista i obieżyświat.

— A jeżeli ja... — bankier urwał niezdecydowany, a Jazon rozumiał coraz mniej. Zresztą, miał jeszcze tylko trzy minuty czasu.

— Good night. Naprawdę, muszę już iść. Miss Murray... — kapitan zawahał się zrozumiale; lecz skoro ten człowiek już tyle wie — obiecała zapłacić za mnie rachunek. Jestem bez grosza przy duszy. Poza tym hotel, jak już panu wiadomo.

Przejrzał się w lustrze i poprawił krawat.

— Tak, mr. Sedgwick. Nie należy do przyjemności mieć do czynienia z policją w mojej sytuacji. Na to potrzebne są pieniądze.

— Rozumiem — wstał mr. Sedgwick. — Ile panu potrzeba?

— Przydałoby się z pięćset, o ile to pana już tak zaciekawia.

Ku przerażeniu Jazona Kenta mr. Sedgwick wyjął z portfelu plik banknotów, odliczył pięć studolarówek i wręczył je oniemiałemu kapitanowi.

— Nie będę pana zatrzymywał. Jutro o pierwszej czekam na telefon w banku. Wtedy umówimy się na spotkanie.

— Dziękuję! — wykrztusił wreszcie Jaz. — Ale...

— Rozumiem... Pan jest bardzo sprytny człowiek, kapitanie Kent.

Jazon Kent machinalnie uścisnął wyciągniętą ku niemu twardą dłoń dyrektora i przez cały czas drogi do loży miss Murray powtarzał sobie wkółko, jak nieprzytomny: „Pan jest bardzo sprytny człowiek, kapitanie Kent!“

„Pan jest bardzo sprytny człowiek, kapitanie Kent“ Gdzie!?

ROZDZIAŁ VI.

BOGATY JAZ

— Spóźnił się pan o pięć minut — miss Murray spojrzała nań z udanym wyrzutem, ale on nie zauważył w jej oczach wyrazu zadowolenia z powrotu. Ani ona nie zauważyła, że Jaz przez okamgnienie patrzał na nią jakoś inaczej. Bądź co bądź słowa mr. Sedgwicka musiały przecież mieć jakieś znaczenie — a jak on to powiedział... „Już konferencja z miss Murray. Pan działa za prędko, kapitanie“. Ech, chyba gadał na wiatr. Więc Więc czemu dał... Zresztą to nie ma w tej chwili znaczenia. Thelma jest miłą kobietą, szczególnie teraz, gdy w kieszeni szeleszczą banknoty studolarowe. Pięć sztuk — jak obszył.

— Przepraszam za spóźnienie — lecz opłacało się.

— Jak to? — zdziwiła się.

„Nie mówić miss Murray o niczym“. Wprawdzie niezrozumiałe polecenie, absolutnie niedorzeczne — ale Sedgwick dał pięćset i ma prawo wymagać pewnej dyskrecji.

— Opłaciło się — bo zdążyłem trochę wytrzeźwieć. Nie uwierzy pani; po rozmówieniu się z Cliffem udałem się do umywalni i zmyłem twarz zimną wodą. Za dużo wypiłem... raczej... zająkał się — ...tego vermouthu. Mój organizm nie znosi Martiniego. Wzajemna antypatia — próbował obrócić wszystko w żart.

Spojrzała nań jakoś dziwnie.

— Pan mówi nieprawdę.

— Trochę, bo muszę. Ściśle prywatne powody. Zmieńmy więc temat... Może zatańczymy. Foxtrott — lubię foxtrott. Wzajemna sympatia.

Nie odmówiła, co dało mu czas do namysłu, jakiemu nie przeszkadza wcale mechaniczne i bezmyślne wirowanie po woskowym drzewie heblowanym, zwanym dancingowym parkietem... Zatem... — na razie nie powie jej o niczym. Postara się jednak nie zrazić jej. Zupełnie miła dziewczyna — to primo. I ewentualnie protekcja wpływowego papy w obcym mieście, w którym Jaz nie znał poza tym nikogo oprócz zwariowanego dyrektora od La Salle'a — to grunt. Może i ci pan Sedgwick po wytrzeźwieniu zażąda zwrotu pieniędzy. Fakt taki nie byłby mniej dziwny niż ich wręczenie. Ponad to...

Na parkiecie był tłok, jak zwykle o północy w Petit Gourmet. Mimo woli musieli się oboje przycisnąć do siebie) dla niewybrednych, największa zaleta modnych, a więc gęsto uczęszczanych dancingów) — i Jaz poczuł miłe ciepło ciała partnerki. Dopiero teraz zwrócił na nią uwagę, jako na kobietę. Teraz, gdy myśli o rachunku pierzchły hen. Thelma pachniała jakiemiś delikatnymi, przenikliwymi perfumami, miała taki miły meszek na karku i piękne, jasno - blond włosy, nos, profil. Rozkoszna w dotyku... A on... Mężczyzna jest także mężczyzną — pomyślał ni to z sympatią, ni ze specjalną awersją do tej normalnej myśli.

Wrócili do loży i Thelma ową cudowną intuicją każdej kobiety natychmiast wyczuła zmianę jego nastawienia. Nie dała jednak poznać po sobie, że cośkolwiek zauważyła. To by go mogło zrazić, a kapitan Kent mimo wszystkiego podobał się jej jako typ. Był taki inny.

— Czy pani o tym wie, że jest pani piękną kobietą?

— Oryginalny komplement, kapitanie. Pan jest marynarzem, prawda? Proszę mi coś opowiedzieć ze swoich przygód z podróży. Zazdroszczę ludziom morza, to musi być zupełnie odrębny świat.

— Całkowicie inny — zamyślił się mimo woli, lecz sam nie wiedząc czemu odegnał wspomnienia. Może dlatego, że przypomniały mu lepsze, beztroskie czasy. — Dobra gwizdawka, zdrowe płuca, karna załoga — nic więcej. Dla szczurów lądowych wydaje się to piekło rajem.

— Nieprawda! — oburzyła się. — Obce kraje, nowe twarze, zwyczaje, niezmierzona dal morza.

— Literatura, miss Murray. (Czemu on umyślnie przesadza, przecież tak nie jest). — Te same twarze, wszędzie, tylko mówiące różnymi językami, odrębność zwyczajów sprowadza się do różnicy walutowych znaków obiegowych. Morze zaś — to chwiejba, bryza, niepewny grunt pod nogami, napięcie mięśni, ceratowa kapuza i szum aż do zgrzytania nerwów.

— Nie jest pan dziś romantycznie usposobiony.

— Właśnie, że tak. Może napijemy się czegoś. Powiedzmy, szampana.

— Nareszcie dał pan spokój ekstrawagancji. — Nie umiałby powiedzieć ,czy jest zadowolona z tego, czy nie. — Więc jak ostatecznie z kwestią... materialną. Kto będzie płacił.

— Ja. Już mi przeszło. Kelner!

Fagas nachylił się i „wysłuchał“ zamówienia.

— Co pani widzi we mnie ciekawego, miss Murray? Człowiek o niezrównoważonym nastroju, skłonny do ekspansji, w tej chwili hipochondryk, czyli osobnik, który się dobrze czuje, kiedy się czuje źle.

— Buja pan, jak najęty, kapitanie. Jeszcze nigdy nie spotkałam takiego optymistycznego spojrzenia, jak pańskie.

Kelner nadszedł, nalał do kielichów, postawił trójnóg z zamrożoną butelką obok i zniknął.

— Pijmy, miss Murray, bo szampan jest jak życie. Zostawiony bezczynnie i nieużyty zgodnie z przeznaczeniem, traci charakter.

— Nie rozumiem nagłej zmiany humoru pana.

— Dziwak jestem, zbzikowany marynarz. Dziś tak, jutro inaczej.

— Protekcja do mego papy, naturalnie już nieaktualna.

Nie od razu odpowiedział. Prawdę mówiąc, czuł się dziś szczególnie nieswojo i niedziwota. Lecz wrodzona zdolność szybkiego myślenia przyszła z pomocą.

— Przeciwnie, nawet tym bardziej aktualna. Jestem bez zajęcia. Byłbym pani wdzięczny za przedstawienie mnie ojcu pani i poparcie mej prośby.

— Czy pan wie jak się „reguluje“ wdzięczność dla kobiety — uśmiechnęła się swobodnie.

— Zastanowię się — odparł Jaz bez żadnej myśli. — Zatańczymy jeszcze? — zrejterował.

— Dziękuję. Jestem zmęczona.

— Kelner!

Dwadzieścia trzy dolary, osiem centów. Więc zostało czterysta siedemdziesiąt siedem i dziewięćdziesiąt dwa centy. Starczy.

W samochodzie Thelmy milczeli oboje, nie zdając sobie sprawy z właściwego powodu. Po piętnastu minutach zajechali przed pałac mister Murray na rogu Canal Street i West Taylor Street. Jaz wysiadł i podał jej rękę dla pomocy.

— Dobranoc, kapitanie. Sądzę, że pan zadzwoni.

— Na pewno. To leży w moim interesie.

— Bardzo szczere.

Usłyszała kroki za drzwiami i odwróciła się doń jeszcze raz.

— Wie pan, co mi się najbardziej podobało?

— Nie wiem.

— Że nie usiłował pan pocałować mnie w samochodzie.

— Zapomniałem — odparł znów szczerze i w odpowiedzi dobiegł go jej wesoły śmiech już po drugiej stronie.

Packard stał przed domem i ku zdumieniu Jaza szofer otworzył przed nim drzwiczki i stanął w wyczekującej postawie. — Jak to?

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Niedziela, dnia 2 stycznia 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi 10.30 Koncert w wyk. Chóru Kaplicy Sykstyńskiej i Beniamino Gigli. Transmisja z Watykanu (stille) 12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa 13.10 „Górnoślązaczka" — nowela P. Gojawiczyńskiej 13.30 Muzyka obiadowa (z Poznania) 15.00 „Gody" — komedia ludowa 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Muzyka kompozytorów północy — koncert 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.05 Słuchowisko „Syn pana Łukasza" według B. Prusa 19.35 „Słynni wirtuozi" (11 audycja) 21.00 Noworoczna audycja sportowa 21.20 „Ta joj" — wesoła audycja 22.05 Najpiękniejsze pieśni Stanisława Moniuszki (4 audycja) 22.30 Recital skrzypcowy Ignacego Weissenberga.

Poniedziałek, dnia 3 stycznia 1933 r.

6.15 Audycja poranna 11.40 Od warsztatu do warsztatu 15.45 Z pieśnią po kraju — audycja z Poznania 16.15 Orkiestra Straży Więziennej 17.00 „Najdłuższy most" — pogadanka 17.15 Recital wiolonczelowy Rafała Lanesa 18.10 Nowe nagrania Lucyny Szczepańskiej (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 „Dyskutujmy: Dlaczego zajmujemy się życiem naszych bliźnich" 20.00 „Raz to mało — wspomnienie muzyczne z grudnia 1937" 22.00 „Arcydzieła muzyki symfonicznej" — 6 audycja.

Wtorek, dnia 4 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 15.45 Zagadki muzyczne — audycja dla dzieci 16.15 Mikołaj Rimskij-Korsakow: Kwintet B-Dur (z Poznania) 17.00 Kraj pustyni i bogactw — odczyt 17.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Zespołu Mandolinistów Rozgłośni Katowickiej 17.15 Mikroskopijne żyjątka pod lodem — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Biesiada artystyczna Rybałtów" — wieczór literacki 19.30 Polska twórczość chóralna (5. audycja) 20.00 „Tańce polskie Zofii Stryjeńskiej" — audycja z Krakowa 21.00 Koncert symfoniczny z Wilna 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R.

Środa, dnia 5 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 15.45 Brazylijskie bichos — pogadanka dla dzieci starszych 16.00 „Uczmy się mówić" 16.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Orkiestry P.R. 17.00 Ustrój państwa a przyszła wojna — odczyt 17.15 Recital skrzypcowy Zdzisława Roessnera 17.15 Pożyczka na słowo — pogadanka 18.10 Muzyka lekka z płyt 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Złoto" — fragment z powieści Struga „Miliardy" 19.20 „Melodie Indii" — reportaż 19.35 „Co zarzucamy polskim filmom" — dialog 20.00 Piosenki liryczne i komiczne (płyty) 21.00 Koncert chopinowski 21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji 22.00 Wieczorny koncert rozrywkowy w wyk. Krakowsk. Kwartetu Schrammla.

Czwartek, dnia 6 stycznia 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Katedry Ormiańskiej we Lwowie 10.30 Muzyka z płyt 12.03 Poranek muzyczny 13.00 Wspomnienie ukraińskie o Władysławie Orkanie — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 Audycja dla dzieci „Jasełka" — Marii Konopnickiej 16.15 Koncert solistów 17.00 O książce „Dzieje Polski nowożytnej" 17.15 Polska Kapela Ludowa Dzierżanowskiego 18.10 Muzyka taneczna z płyt 19.05 „Bawimy się w Króla Migdałowego" audycja z Poznania 20.00 „Tancerka Fanny Elsner" — operetka 21.50 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki 22.05 Piotr Czajkowski: Trio a-moll op. 50.

Piątek, dnia 7 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 15.45 „Jak pan burmistrz zadziwił swych obywateli" — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Kolędy w wyk. Chóru Cecyliańskiego przy kościele OO. Franciszkanów w Warszawie 17.00 „Kooperatystka polska" — felieton 17.15 Polskie utwory kameralne — koncert 18.10 Orkiestra rozrywkowa 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Fragment słuchowiskowy z dramatu „Tyberiusz" W. Bąka 19.35 Orkiestra rozrywkowa z Łodzi 20.05 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 8 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 15.45 Słuchowisko dla dzieci pt. „Związek drapieżnego sępa" 16.15 Orkiestra wojskowa 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 18.15 Królewski zespół cygański z płyt 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P.R. 21.45 „O człowieku, który sprzedał własny szkielet" — skecz 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry.



SPOSTRZEŻENIE PSYCHOLOGICZNE

— Mój kolega Wacek, to wielki pesymista!
— Z czego tak wnioskujesz?
— Bo nosi i szelki i pasek do spodni.

U LEKARZA

— No, Janku, wyciągnij język, jeszcze trochę!
— Nie mogę, przymocowany jest z tyłu!

JEDNA RZECZ.

— Ja to nic krajowego nie noszę. Krawaty mam paryskie, buciki z Wiednia, ubranie angielskie, bieliznę z Brukseli.
— Owszem. Jedną rzecz krajową nosi pan jednak ze sobą.
— Na przykład?
— Mózg, ten jest na pewno z Owińsk.

DWIE MOŻLIWOŚCI.

Pan Z... wrócił do domu w złym humorze.
— Czy masz jakie zmartwienie? — zwraca się doń żona.
— Tak, moje interesy stoją coraz gorzej.
— Wiesz co będzie?
— Trudno, musimy się ograniczyć.
— Pożyczać, czy mniej oddawać?...

TAKŻE CHIRURG

Majster rzeźnicki do lekarza:
— Panie konsyliarzu, za operację i obcięcie małego palca u mojej lewej ręki, żąda pan 150 złotych?
— Tak, kochany majsterku.
— Ależ to niemożliwe. Niech pan doktór przyjdzie do mnie do sklepu, to ja panu za 5 złotych obetnę obie nogi i wszystkie ręce.

TROFEA

— Czy to prawda, że Buba tyle razy była zaręczona?
— Bo! Firanki w swoim pokoju zawiesiła na pierścionkach zamiast kółkach.

ŻAŁUJĘ!...

— Co to za restauracja! Pieczeni cielęcej nie ma, kotletu nie ma, flaków nie ma! Przynieś mi pan mój płaszcz!
— Żałuję bardzo, ale go już też nie ma.

W SZKOLE

— Pamiętajcie dzieci: lepiej jest dawać, niż brać.
— Mój ojciec, panie psorze, też tak mówi.
— Czym jest twój ojciec?
— Bokserem!

ZAPROSZENIE DŻENTELMENA

— Zosiu, kochanie, czy chcesz dziś razem ze mną zjeść kolację?
— Z rozkoszą, Henryczku!
— A więc powiedz swej mamusi, że przyjdę punktualnie o ósmej.

INSTYTUT PIĘKNOŚCI

Pewien dżentelmen spotkał znajomą starszą panią, która odznaczała się wybitną biedotą i zaniedbanym wyglądem.
— Wracam właśnie z instytutu piękności — mówi dama.
Pan przygląda jej się przez chwilę, wreszcie mówi ze współczuciem:
— Ach, domyślam się, pewnie był zamknięty...

UWAŻAĆ NA DZIECI

— Mamusiu, czy Pan Bóg nigdy nie choruje?
— Cóż za pytanie? Skąd ci to przyszło do główki, moje dziecko?
— A bo tatuś mówił wczoraj: „że też Pan Bóg wujcia Stasia nie powoła do siebie!" a przecież wujcio Stasio jest doktorem.

REFLEKSJE

— Czemu mamusiu jesteś smutna, gdy patrzysz na kurę? — zapytało prosię starszej świni.
— Albowiem myślę wtedy o jajecznicy z szynką — odrzekła melancholijnie starsza świnia.

DOMOWY SPOSÓB

Państwo przyjęli nową nianię do dziecka i pokazują jej urządzenie domowe.
— A tu jest termometr do mierzenia temperatury wody przed kąpaniem dziecka.
— Mnie tam niepotrzebny termometr — odpowiada niania. — Ja mam swój domowy sposób.
— Jakiż to sposób, nianiu?
— Ano, widzi pani, jak dziecko sinieje, to woda jest za zimna, a jak się robi czerwone, to za gorąca.

POD LATARNIĄ

O drugiej w nocy z szynku zataczając się wychodzi pijany. W pewnej chwili zbliża się do elektrycznej latarni, wyjmuje z kieszeni klucz i zaczyna manipulować przy zamku.
Przechodzący ulicą policjant zatrzymuje go.
— Co pan wyprawia? Po co pan kręci kluczem przy tej latarni? Przecież tu nikt nie mieszka!
Pijak spogląda nań z niedowierzaniem:
— Nie mieszka?... Hep... To dlaczego na górze się świeci?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32.
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżeni miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.